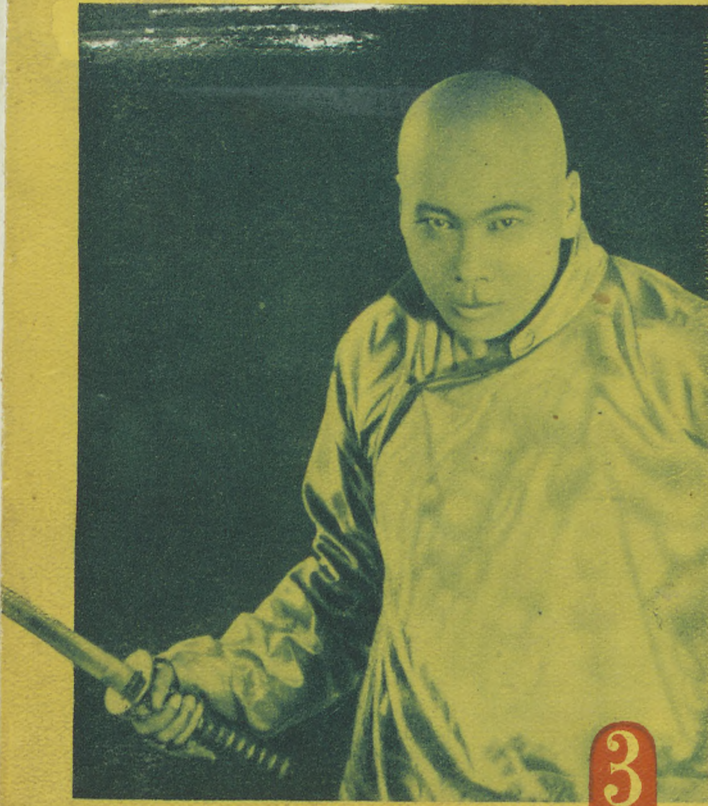
F. A. OSSENDOWSKI



3 zł

LUDZIE
ZWIERZĘTA
BOGOWIE

Krwawy generał

WYDAWNICTWO POLSKIE

F. A. OSSENDOWSKI

LUDZIE, ZWIERZĘTA, BOGOWIE

Po za polskiem wydaniem tej książki ukazały się następujące przekłady:

Ameryka:	*E. P. Dutton, New York*
Anglja:	*Arnold, London*
Bułgarja:	*Sarafow, Sofja*
Czechy:	*Graficka Unie, Praha*
Danja:	*V. Pios, Kopenhaga*
Finlandja:	*Kustannusosakeyhtio Otava, Helsingissa*
Francja:	*Plon — Nourrit, Paris*
Holandja:	*H. P. Leopold, Haga*
Hiszpanja:	*M. Aguilar, Madrid*
Italja:	*Giuseppe Morreale, Milano*
Jugosławja:	*„Tipografije", Zagrzeb*
Japonja:	*Kotsumo, Tokio*
Łotwa:	*„Leta", Ryga*
Niemcy:	*Frankfurter Societäts-Druckerei*
Portugalja:	*„O Malho", Lizbona*
Szwecja:	*Hugo Geber, Sztockholm*
Węgry:	*Franklin Tarsulat, Budapeszt*

W języku rosyjskim:

G. L. Birkgan, Ryga

W języku „Esperanto":

„Esperanto" 1924 — Berlin

W języku hebrajskim:

Antokolski — Ryga — Wilno

W pisowni Braille'a dla niewidomych:

American Blind Fund. New York and Paris

F. A. OSSENDOWSKI

LUDZIE, ZWIERZĘTA, BOGOWIE

3

III.

KRWAWY GENERAŁ.

POZNAŃ

WYDAWNICTWO POLSKIE
<R. WEGNER>

WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE

DRUKARNIA CONCORDIA, POZNAŃ

PRINTED IN POLAND

344883

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA w Toruniu

K 2565/G

I.

DROGA DŻENGIZ-CHANA.

Wielki wojownik, syn surowej i ponurej Mongolji, Dżengiz-Chan — według jednej z legend — wstąpił na szczyt Karasu-Togoła i orlim wzrokiem ogarnął Zachód i Wschód. Na Zachodzie ujrzał morze krwi ludzkiej, a nad niem unosiła się mgła czerwona, zakrywająca widnokrąg. Nie dojrzał Dżengiz na Zachodzie swego przeznaczenia, lecz bogowie rozkazali mu iść tam i prowadzić za sobą waleczne hordy, złożone ze wszystkich szczepów mongolskich.

Na Wschodzie Dżengiz widział bogate miasta, wspaniałe świątynie, szczęśliwe tłumy ludzi, ogrody i pola, pełne owoców i zboża. Uradowała się dusza wielkiego Mongoła.

— Tam na Zachodzie — powiedział, zwracając się do synów — będę ogniem i mieczem, groźną i karzącą Karmą; na Wschód zaś przyjdę jako miłościwy, wielki budowniczy, który ludom i krajom rzuci siew szczęścia i sławy!

Tak opiewa legenda. Przekonałem się, że jest w niej sporo prawdy.

Przebyłem znaczną część zachodniego szlaku dżengizowego, zawsze odnajdując go przy pomocy starych mogił, lub zuchwale piętrzących się kurhanów krwawego wodza. Szedłem też wschodnim szlakiem wielkiego zdobywcy, szlakiem, który prowadzi do Chin.

Wyjechawszy z Uliasutaju, pewnego wieczora zatrzymałem się ze swymi towarzyszami na nocleg w Dżargałantu. Stary arendarz „urtonu“, który już znał mnie z mojej podróży do Narabanczi-Kure, przyjął nas bardzo gościnnie i przy kolacji zabawiał rozmową. Wyprowadził mię z jurty i pokazał mi górę, oblaną światłem księżyca, opowiadając, że Dżengiz-Chan, zanim został władcą całej Środkowej i Wschodniej Azji, wykonywując wolę bogów, posuwał się na wschód i tu, zachwycony ponurą, lecz malowniczą miejscowością i doskonałemi pastwiskami, rozkazał wznieść gród warowny. Przebywał tu jednak niedługo i pociągnął dalej. Miasto to opustoszało, gdyż Mongołowie, dla których step jest domem, miasto zaś zajazdem lub więzieniem, mieszkać w nich nie lubią i nie mogą. Kilkakrotnie gród był świadkiem bojów pomiędzy Chińczykami i hordami potomków Dżengiza. Później o nim zapomniano, i teraz pozostała tylko jedna rozsypująca się w gruzy baszta, z której niegdyś staczano na głowy napastników ciężkie ka-

mienie, oraz część muru z „wrotami Kubłaja", dżengizowego wnuka.

Na zielonkawem niebie, przesyconem blaskiem księżyca, odcinały się ciemne, ostre zęby górskiego szczytu i czarne widmo baszty z otworami okien, przez które skrzyło się niebo i płynące po niem obłoczki srebrzyste.

W jurcie Mongoła zaobserwowałem bardzo ciekawą scenę urodzin dziecka i pierwsze chwile jego istnienia na tym padole łez i smutków.

Natychmiast po urodzeniu wymyto je po raz pierwszy i... ostatni w życiu kwaśnem mlekiem jaka, poczem oddano je matce, która, trzymając dziecko przy piersi, wyniosła je z namiotu na step zupełnie nagie, pomimo dość silnego i mroźnego wiatru.

Po godzinie dopiero powróciła do jurty, na progu której kobiety ofiarowały jej kołyskę — małe korytko modrzewiowe, do połowy napełnione suchym nawozem owczym.

Matka, nakrywszy nawóz cienką skórką koźlą, położyła niemowlę, owinęła je wraz z kołyską w dwie skóry baranie i obwiązała mocnemi rzemieniami. Ojciec zaś umocował kołyskę przy pułapie jurty na długim powrozie z włosia końskiego i pchnął silnie.

Krążąc po jurcie, niemowlę pływało w powietrzu pełnem dymu, skazane na taki tryb życia w ciągu dwóch lat. Zwykle matki-Mon-

gołki przy karmieniu nie wyjmują dziecka, lecz razem z kołyską przytulają do piersi i tylko raz na dwa tygodnie zmieniają mu nawóz owczy, który doskonale wchłania wszystkie wydzieliny i nawet częściowo dezynfekuje. Matka karmi dziecko do pięciu lat, o ile może piersią, lub mlekiem białego jaka, poczem już ojciec uczy je jeździć konno. Wkrótce potem staje się ono uprawnionym członkiem rodziny, co znaczy, że je z apetytem mięso baranie, pije herbatę z solą, pasie owce, strzeże tabunów koni i pali fajkę bez względu na płeć. Taki obywatel do pięciu lat życia jednego tylko przywileju nie posiada, a mianowicie noszenia ubrania i obuwia, przeto około koczowisk mongolskich można zawsze widzieć kupy dzieciaków, baraszkujących w lecie i w zimie w „stroju Adama".

O jakie sto kilometrów od klasztoru Dzain-Szabi, przy skręcie drogi z głównego gościńca, rozstałem się ze swoimi towarzyszami, którzy jechali wprost do Urgi, gdzie mieli oczekiwać mego przyjazdu.

Słońce ledwie zaczęło wschodzić, gdy z Mongołem-przewodnikiem wjeżdżałem na niewysoki łańcuch gór, pokryty lasem, ze szczytu którego długo jeszcze widziałem pędzące przez stepy sylwetki moich towarzyszy.

Wkrótce pochłonęły mnie labirynty wąwozów.

Po pewnym czasie przewodnik wstrzymał konia na piaszczystym brzegu jakiejś małej rzeczki i powiedział, że tu się rodzi „złoty piasek". Mongołowie w lecie przyjeżdżają całemi rodzinami i wydobywają z piasku złoto. Jest to oczwiście bardzo pierwotny sposób „metalurgiczny". Goły Mongoł, mając zawieszony na szyi niewielki woreczek skórzany, kładzie się na piasku twarzą nadół i zapomocą orlego pióra powoli rozgrzebuje piasek, stale w niego dmuchając. Od czasu do czasu zwilża śliną palec i wyłapuje spostrzeżone ziarnka złota, które kładzie do woreczka. Pracując w ten sposób, w ciągu dnia zbierze on złota na sumę ½ do 2 dolarów amerykańskich. Czasami taki szczęśliwy przemysłowiec znajdzie znaczniejszy kawałek naturalnego złota, co mu zapewnia istnienie w ciągu całego roku. Takim fachem zajmuje się najbiedniejsza, zrujnowana przez Chińczyków część ludności. Złoto znaleziono w różnych miejscach Mongolji: na rzece Dzak, Bajdryk, w chanatach Tuszetu i Cecen, gdzie istniały dwa przedsiębiorstwa rosyjskie, obecnie naturalnie nieczynne.

Postanowiłem przebyć drogę do Dzaina przed zachodem słońca, więc nagliłem dozorców urtońskich do łapania i siodłania prawie dzikich, tabunowych koni. O jakie 40 kilometrów od celu mojej podróży przy wsiadaniu na białego

dzikiego źrebca zostałem przez niego silnie kopnięty w lewą nogę, w to samo miejsce, w które otrzymałem kulę podczas boju na rzece Ma-Chu w Tybecie.

Narazie nie zwróciłem uwagi na ból i, dopiero zrobiwszy kilka urtonów, poczułem, iż nie mogę stać na lewej nodze. Z wielkim trudem i bólem wsiadałem na konia, dążąc do Dzain-Szabi. W trzy godziny później, gdy zachodzące słońce zalewało już szkarłatem szczyty gór i wierzchołki olbrzymich modrzewi, ujrzałem pierwsze zabudowania osady, położonej przed klasztorem, a wkrótce potem — Dzain-Szabi, do którego pozostało prawdopodobnie około trzech kilometrów.

Zjechaliśmy w dolinę, przeciętą niewielkim potokiem, służącym jako granica pomiędzy budynkami klasztornemi, a chińsko-rosyjską osadą. Minęliśmy górę, której szczyt był wyłożony białemi kamieniami, poskładanemi w formie wyrazów, stanowiących modlitwę tybetańską. U stóp góry leżały liczne kości i czaszki ludzkie, pozostałe po nieboszczykach, których tu mnisi składali.

Wreszcie zobaczyłem jak na dłoni cały klasztor.

Zwykły kwadrat, otoczony ogrodzeniem z palów modrzewiowych. W środku kwadratu, pomiędzy niskiemi domami lamów i innemi zabu-

dowaniami stała wysoka świątynia o białych ścianach i czarnym dachu. Świątynia, wybudowana w tybetańskim stylu architektonicznym, miała szereg prostych okien w czarnych ramach i wejście skromne bez krzyczących krużganków chińskich i słupów lakierowanych; czarny dach był oddzielony od białych ścian grubemi wiązkami jakichś nigdy niegnijących prętów, dostarczanych z Tybetu.

O pół kilometra na wschód od klasztoru stał niewielki biały domek z czerwonym dachem żelaznym i z ładnem murowanem ogrodzeniem. Druty telegraficzne łączyły ten domek z osadą rosyjską.

— To dom miejscowego „boga“ — hutuhtu Pandita-Gegeni — objaśnił mnie Mongoł. — Lubi on Rosjan i ich obyczaje.

Ze strony północnej, w pewnej odległości od klasztoru, na niewysokim, stożkowatym pagórku wznosił się budynek, przypominający swą architekturą trzypiętrowe baszty babilońskie, czy „Zuguraty“. Baszta miała białe ściany i dach czarny. Na rogach tego budynku stały wysokie maszty czerwone — oznaka świętego miejsca. Była to dawna świątynia, gdzie przechowywano księgi i rękopisy starożytne, należące do kultu lamaickiego, płaszcze, czapki, oraz ozdoby zmarłych hutuhtu, gegeni i innych dostojników „żółtej wiary“.

Zaraz za tą basztą wznosiła się wysoka, zupełnie pionowa skała, z wykutemi w niej olbrzymiemi obrazami bogów. Nocą palono przed niemi lampki, zapalane przez jakiegoś pustelnika, w niewytłumaczony sposób wdrapującego się na tę niedostępną ścianę.

Zatrzymałem się w lokalu znanej mi firmy rosyjskiej, gdzie przyjęto mię, jak przyjaciela. Gdym wyraził zdumienie, że tu tak dokładnie znają moje imię, nazwisko i działalność w Mongolji, zarządzający firmą opowiedział, że to hutuhtu Dżełyb-Dzamsrap z Narabanczi doniósł już wszystkim klasztorom historję ratowania Narabanczi-Kure, żądając dla mnie wszędzie pomocy i gościnności i zaznaczając, że „wróżby i horoskopy powiedziały, iż polski nojon jest przeistoczonem bóstwem, przyjacielem dobrych duchów".

Poczciwy hutuhtu swoim okólnikiem okazał mi wielką przysługę i kto wie? być może, wyratował mnie od śmierci, która w kilka dni później stała tuż za mną.

Gościnność firmy była bardzo pożądana, gdyż moja rana otworzyła się i przy zdejmowaniu buta wylałem z niego wielką ilość krwi. Musiałem zaleczyć ranę i trochę wypocząć. Miejscowy felczer bardzo umiejętnie się mną zaopiekował. Na trzeci dzień mogłem już trochę chodzić, a na piąty czułem się zupełnie dobrze.

Pułkownika Kazagrandi nie zastałem już w Dzainie natomiast pozostawił on dla mnie bryczkę, która miała mię dowieźć do klasztoru Wan-Kure, położonego o 350 kilometrów na północ. Przykra to była okoliczność, lecz postanowiłem jechać, gdyż rozumiałem, że pułkownik chce się ze mną spotkać dla przyczyn niezawodnie bardzo poważnych.

W Dzainie pokazywano mi zburzony „dugun“ chiński w którym bronili się Chińczycy przeciwko Mongołom i oficerom rosyjskim, a także cmentarz, gdzie pogrzebano zabitych przez Chińczyków: komendanta-Polaka, kapitana Barskiego, oraz kilku kolonistów.

Pewnego dnia przybył do mnie z wizytą miejscowy „bóg“ gegeni, Pandita-hutuhtu.

Dziwniejszego „boga“ nie mógłbym sobie wyobrazić!

Był to młodzieniec lat 20—22, wzrostu średniego, wiotki i szczupły, o szybkich, nerwowych ruchach i twarzy wyrazistej, na której, jak zresztą u wszystkich mongolskich „żywych bogów“, płonęły oczy ogromne, zawsze przerażone i zdziwione.

„Bóg“, był wystrojony w jasno szafirowy mundur rosyjski, doskonale uszyty, z żółtemi szlifami, na których były oznaki Pandity,*)

*) Wysoki stopień duchowny w ogólno-buddyjskiej hierarchji.

oraz czarna swastyka. *) Szafirowe spodnie z żółtemi lampasami były wsunięte w cholewy wysokich botfortów oficerskich. Na głowie Pandita miał olbrzymią białą „papachę“ ze skóry barana, o żółtem denku, za pasem rewolwer, przy boku szablę.

Nie wiedziałem, co mam myśleć o takiej maskaradzie „boga“, lecz gegeni, siadłszy wygodnie i przyjąwszy od gospodarza filiżankę herbaty, zaczął opowiadać, mieszając słowa mongolskie i rosyjskie:

— Niedaleko od mego kure znajdują się ruiny Erdeni-Dzu, założonego przez wielkiego chana Dżałair-Huntaidżi. W okolicach tego klasztoru był niegdyś starożytny gród Dżengiza i Kubłaja-Karakorum. Przyjeżdżali tam wielcy chanowie, władcy Chin, Indyj, Persji, Afganistanu i Rosji, aby wypocząć po trudach rządzenia swoimi poddanymi. Nic już teraz nie pozostało z tego „ogrodu błogich dni“, oprócz zwalisk i grobów. Jednakże świętobliwi mnisi z Barun-Kure znajdują w podziemiach stare księgi, starsze od samego Erdeni-Dzu. W tych księgach mój maramba Dzam-Batur-Sur wynalazł przepowiednię o dwudziestoletnim hutuhcie, z tytułem Pandity, który ma powstać z serca ziemi dżengizowej, a który przyjdzie na

*) Znak tajemniczego pochodzenia, wyobrażający dwie skrzyżowane litery „z“.

świat ze znakiem Panditów na piersiach. Hutuhtu Pandita ma być czczony przez naród w dni wielkiej wojny i wstrząśnień, a gdy pójdzie do walki przeciwko złym sługom „czerwonego demona“, zwycięży ich i ustali porządek na ziemi. A w dniu tym będzie on święcił triumfy w wielkiem, białem mieście z tysiącami świątyń i dzwonów. To jest przepowiednia dla mnie! Jam jest Pandita-hutuhtu! Posiadam wszystkie oznaki, a więc zwalczę bolszewików, służebników „czerwonego demona“, i będę wypoczywał w Moskwie po krwawem, znojnem żniwie. Dlatego też prosiłem pułkownika Kazagrandi, aby mnie przyjął do swoich wojsk i dał mi możność spełnienia przepowiedni starych ksiąg. Lamowie są przeciwni moim zamiarom, lecz kto tu jest bogiem? Ja — Pandita-hutuhtu, tylko ja! Jam ten, o kim mówią księgi z Erdeni-Dzu...

Tupnął groźnie nogą, a straż przyboczna, która z nim przybyła, gegeni i lamowie, nisko mu się pokłonili.

Odjeżdżając, ofiarował mi chatyk. Ja zaś zacząłem przetrząsać swoje torby, aby znaleźć jakiś upominek dla wojowniczego „boga“.

Nareszcie znalazłem coś godnego Pandity!

Była to szklana rurka z kryształami dość rzadkiego minerału, „osmium-iridium“, znale-

oraz czarna swastyka. *) Szafirowe spodnie z żółtemi lampasami były wsunięte w cholewy wysokich botfortów oficerskich. Na głowie Pandita miał olbrzymią białą „papachę“ ze skóry barana, o żółtem denku, za pasem rewolwer, przy boku szablę.

Nie wiedziałem, co mam myśleć o takiej maskaradzie „boga“, lecz gegeni, siadłszy wygodnie i przyjąwszy od gospodarza filiżankę herbaty, zaczął opowiadać, mieszając słowa mongolskie i rosyjskie:

— Niedaleko od mego kure znajdują się ruiny Erdeni-Dzu, założonego przez wielkiego chana Działair-Huntaidżi. W okolicach tego klasztoru był niegdyś starożytny gród Dżengiza i Kubłaja-Karakorum. Przyjeżdżali tam wielcy chanowie, władcy Chin, Indyj, Persji, Afganistanu i Rosji, aby wypocząć po trudach rządzenia swoimi poddanymi. Nic już teraz nie pozostało z tego „ogrodu błogich dni“, oprócz zwalisk i grobów. Jednakże świętobliwi mnisi z Barun-Kure znajdują w podziemiach stare księgi, starsze od samego Erdeni-Dzu. W tych księgach mój maramba Dzam-Batur-Sur wynalazł przepowiednię o dwudziestoletnim hutuhcie, z tytułem Pandity, który ma powstać z serca ziemi dżengizowej, a który przyjdzie na

*) Znak tajemniczego pochodzenia, wyobrażający dwie skrzyżowane litery „z“.

świat ze znakiem Panditów na piersiach. Hutuhtu Pandita ma być czczony przez naród w dni wielkiej wojny i wstrząśnień, a gdy pójdzie do walki przeciwko złym sługom „czerwonego demona", zwycięży ich i ustali porządek na ziemi. A w dniu tym będzie on święcił triumfy w wielkiem, białem mieście z tysiącami świątyń i dzwonów. To jest przepowiednia dla mnie! Jam jest Pandita-hutuhtu! Posiadam wszystkie oznaki, a więc zwalczę bolszewików, służebników „czerwonego demona", i będę wypoczywał w Moskwie po krwawem, znojnem żniwie. Dlatego też prosiłem pułkownika Kazagrandi, aby mnie przyjął do swoich wojsk i dał mi możność spełnienia przepowiedni starych ksiąg. Lamowie są przeciwni moim zamiarom, lecz kto tu jest bogiem? Ja — Pandita-hutuhtu, tylko ja! Jam ten, o kim mówią księgi z Erdeni-Dzu...

Tupnął groźnie nogą, a straż przyboczna, która z nim przybyła, gegeni i lamowie, nisko mu się pokłonili.

Odjeżdżając, ofiarował mi chatyk. Ja zaś zacząłem przetrząsać swoje torby, aby znaleźć jakiś upominek dla wojowniczego „boga".

Nareszcie znalazłem coś godnego Pandity!

Była to szklana rurka z kryształami dość rzadkiego minerału, „osmium-iridium", znale-

Podobny tryb życia młodego „boga“ przerażał lamów, i z tego powodu tybetański lekarz-truciciel w każdej chwili mógł przystąpić do ostatniej operacji nad lekkomyślnym gegeni, ułatwiając mu lekkie przejście do Nirwany.

Oprócz lekarza tybetańskiego poznałem w domu Pandity jeszcze chłopaka 13-letniego.

Dziecięcy wiek, czerwone ubranie, krótkowłosa głowa dawały mi powód do myślenia, że widzę przed sobą usługującego „bogu“ małego kleryka-„bandi“. Jednak wkrótce zrozumiałem, że chłopak był pierwszym „chubiłganem“, też przeistoczonem bóstwem, jasnowidzącym i następcą Pandity na świętym tronie boga Dzain-Szabi.

Prawdopodobnie obecnie figuruje on w roli „boga“ podczas ceremonij religijnych w klasztorze, gdzie gegeni Pandita tak nieopatrznie przerażał kler i ubliżał potężnej kaście lamów.

Chubiłgan był chłopcem bardzo zepsutym, niesfornym, gdyż pił wódkę, namiętnie grał w karty i stale urządzał bardzo zabawne, lecz obrażające żarciki z poważnymi „kanpo“ i z „gelongami“ w czerwonych i żółtych szatach powłóczystych.

Tegoż dnia poznałem drugiego chubiłgana, faktycznego kierownika życia duchowego, polityki i majętności Dzain-Szabi, korzystającego z praw udzielnego księstwa, podlegającego nie

miejscowemu chanowi Sain-Noin, lecz wyłącznie „Żywemu Buddzie“ w Urdze.

Drugi chubiłgan Gudżi-Lama-Battur-Sur, niespełna lat 35-ciu, był człowiekiem poważnym, uczonym i wykształconym. Znał on język rosyjski, i chociaż nie władał nim płynnie, jednak czytywał bardzo dużo, szczególnie z dziedziny geografji i historji. W specjalny zachwyt wprawiały go genjusz twórczy i inicjatywa Amerykanów.

Z tego powodu mówił do mnie:

— Gdy pan będzie w Ameryce, niech pan poprosi, aby ten wielki naród wysłał swoich najlepszych ludzi do Mongolji dla wyprowadzenia naszego kraju z ciemnoty. Chińczycy i Rosjanie chcą nas zgubić, jedynie Amerykanie mogą nas ocalić!

Zaprzyjaźniliśmy się z Battur-Surem na terenie nauki.

Opowiadałem mu dużo o geologji Mongolji i o możliwej konjunkturze ekonomicznej, gdy wszyscy będą się ubiegali o koncesje w tym bogatym kraju, a później pokazałem mu kilka doświadczeń chemicznych, posiłkując się lekarstwami ze swojej apteczki.

Kiedy zobaczył tworzenie się zabarwionych płynów przy połączeniu bezbarwnych, zjawienie się ognia w płynie, wybuchy niewinnych napozór proszków, wtedy w dużych, poważnych i by-

strych oczach chubiłgana zamigotały ognie namiętne.

Mimowoli pomyślałem, że Battur-Sur marzy zapewne o możliwości skorzystania z tej efektownej wiedzy dla celów religijnych, pomnażając ilość cudów, któremi lamowie trzymają w karbach pracujący dla nich cichy, bogobojny lud mongolski.

Gdy byłem już zupełnie zdrów, Pandita zaproponował, aby z nim odbyć podróż do Erdeni-Dzu. Chętnie przystałem na tę propozycję, bardzo dla mnie przyjemną i interesującą. Rano zajechał lekki powóz, którym podróżowaliśmy całe pięć dni. Zwiedziliśmy Erdeni-Dzu, Koszo-Cajdam i Khara-Bałgasun. Wszędzie spotykałem ruiny miast, wybudowanych przez Dżengiza i jego potomków, chanów Mongolji i imperatorów (bogdo-chanów) Chin, — Ugedeja i Kubłaja, panujących w XIII wieku. Obecnie pozostały tylko resztki baszt i murów, kilka grobowców i kurhanów, oraz znaczna ilość ksiąg i rękopisów z legendami i opisami historycznych i cudownych wypadków.

Gdy mnisi oprowadzali nas, usłyszałem takie opowiadania:

— Tu, pod tym kurhanem pogrzebano młodszego syna chana Ujuka. Syn wielkiego władcy był przekupiony przez Chińczyków i spiskował przeciwko swemu ojcu, za co został otruty przez

siostrę, albowiem stała ona na straży sławy i potęgi starzejącego się imperatora i chana. A to jest grób Tiniły, ukochanej żony walecznego chana Mangu. Piękna „gwiazda czystego nieba“ opuściła wspaniałą stolicę Chin dla cichego Khara-Bałgasuna, gdzie pokochała odważnego pastucha Damczarena, który na swym sławnym koniu „Torochu“ doganiał wiatr i gołemi rękami chwytał dzikie konie i jaki. Zrozpaczony małżonek wpadł, jak burza, do Bałgasuna i zadusił niewierną żonę, jednak później pogrzebał ją z honorami cesarskiemi i często zjeżdżał do tego odosobnionego grodu, aby się modlić na mogile Tiniły i płakać nad jej losem i swoją miłością zniesławioną.

— Co się stało z Damczarenem? — pytałem.

— Jak głosi podanie, przystał on do rozbójników-Czaharów, stał się ich wodzem i przez długie lata niepokoił zachodnie kresy imperjum chińskiego. Podanie nic o tem nie mówi, gdzie i w jaki sposób zakończył życie... — odpowiedział mi stary lama, sekretarz Pandity, człowiek, noszący w pamięci i w sercu cały skarbiec legend mongolskich.

Ten sam lama-sekretarz, w chwili, gdy gegeni odbywał jakąś naradę z mnichami Erdeni-Dzu, wyszedł ze mną w step i, zaprowadziwszy na szczyt samotnie stojącej góry, pokazał tkwiący w ziemi duży kamień biały,

na którym czas pozostawił tylko ślady jakichś znaków, wyrytych ręką ludzką.

— Pan, jako „Porando“*), zainteresuje się zapewne moją opowieścią. Stoimy na górze, zwanej „Miłością Chana“. Pod tym kamieniem leżą szczątki jedynej żony surowego chana Gundżura, który przez całe swe życie nie znał kobiety, pędząc życie mnicha-rycerza. Pod jego stopami występowała z ziemi krew, od jego pałającego wzroku wybuchały pożogi w wielkich miastach, od jego głosu groźnego wypadała broń z rąk wrogów, jak od „strzały bogów“**). Gundżur, będąc jedynym spadkobiercą spuścizny dżengizowej, brał udział w bojach z Polakami i z Węgrami i stamtąd przysłał tu, do Erdeni-Dzu, wraz z tłumem jeńców młodą i piękną brankę z ziemi polskiej. Powróciwszy z wyprawy, pojął ją za żonę, i miłość ich była, jak step, bezgraniczna i jak wicher potężna. Na imię jej było „Eleer-Bałasyr“, co znaczy „żona-pierścień“. Miłość i łaska spływały z pałacu, zamienionego w świątynię szczęścia. Lecz Eleer Bałasyr zmarła po kilku latach, a zrozpaczony chan na rękach zaniósł ją aż tu i, spełniając jej wolę, pogrzebał ciało, postawiwszy na grobie biały kamień z dalekiej

*) Porando — chińska nazwa Polaków, zepsute ang. słowo — Poland.

**) Pioruna.

ziemi Bytów, gdzie istnieje wejście do królestwa „Wielkiego Nieznanego“. Po śmierci chana Gundżura syn jego złożył zwłoki ojca obok grobu Eleer-Bałasyr, lecz w kilka lat później powstańcy chińscy wykopali kości groźnego władcy i rozproszyli je po stepie...

Długo stałem przed białym grobowcem żony Gundżura.

Myśli rzewne i smętne tłoczyły mi się do głowy.

Jakie imię nosiła ta branka polska, która znikła z ziemi ojców bez śladu poto, aby stać się małżonką władcy Azji, „Eleer-Bałasyr“, źródłem miłości, łaski i szczęścia, słońcem i osłodą surowego życia mnicha-rycerza, który był dla Europy „mieczem bożym“?

Czy nie jej pomocy zawdzięczają ocalenie i powrót do ziemi ojczystej ci jeńcy polscy, którzy przybywali czasami aż z „ziemi pesińskiej“ (Chin) i z wąwozów Pamiru?

Jakże musiała być piękna i jaką siłą miłości i czaru władała!

Jakże mądra była, skoro ujarzmiła wojownika, który płomieniem oczu rozniecał płomienie w miastach wrogów!

Spoczywaj na szczycie góry, o ty, piękna „Miłości Chana“, mądra branko z ziemi polskiej. i świeć wzorem miłości i szczęścia ludziom, którzy zapomnieli już o legendach, opie-

wających pełne rzewnego czaru Eleer-Bałasyr — „żony-pierścienie“...

Gdy zeszliśmy nadół i zbliżyliśmy się do starych ruin, lama opowiedział mi, że mnisi stale szperają wśród zwalisk i grzebią w piaskach Gobi, zasypujących coraz bardziej Karakorum i Erdeni-Dzu; nieraz znajdują zwoje pergaminów, tabliczki i cegły z napisami, stosy zmurszałych ksiąg, ukrytych w lochach podziemnych starego i niegdyś potężnego grodu. Niedawno wykryto skład starożytnych strzelb chińskich i innej broni, dwa złote pierścienie i jakieś odłamki różowego, jak skóra kobiety, agatu, zawierającego w sobie tajemnicze skamieniałe krzaczki mchu.

Zadawałem sobie pytanie, dlaczego potężni władcy połowy świata dążyli do tego odludzia, gdzie nic nie opiewało ich sławy wojowników i zaborców, i gdzie straszliwa pustynia Gobi szybko zacierała wszelkie ślady wysiłków człowieka, chociażby imię jego zgrozą przejmowało serca ludów?

Przecież nie dla tych smętnych dolin i gór z nikłemi lasami brzóz i modrzewi, nie dla piasków Gobi, nie dla wysychających jezior i nagich skał?

Zdawało mi się, że znalazłem odpowiedź...

Potężni chanowie, pamiętając o widzeniu Dżengiz-chana, szukali tu nowych objawień

i cudownych przepowiedni dla siebie, otoczeni ubóstwieniem, niewolniczą pokorą, lub naprzemian — zdradą i nienawiścią.

Gdzież mieli szukać spotkania się z bogami, z dobremi i złemi duchami? Naturalnie tylko tam, gdzie bogowie i duchy przebywają, a siedliskiem ich pozostaje od wieków cała okolica Erdeni i Dzaina.

— Na taki szczyt zdoła wejść tylko ten, kto jest zrodzony z potomków Dżengiza — powiedział mi w pewnej chwili Pandita, wskazując ręką górę, porosłą bujną trawą i gęstemi krzakami. — Już w połowie góry brak tchu, i każdy śmiałek, który odważy się iść dalej, umiera. Przed paru laty Mongołowie otoczyli zgraję wilków, które, przedarłszy się, pomknęły na schyłek tej góry i padły, nie dobiegłszy szczytu. Tam, na tej górze leżą kości orłów i sępów, argali i lekkich, jak podmuch wiatru antylop-kabarg. Przebywa tam zły demon, czytający księgę losów ludzkości.

— Mam już odpowiedź! — zawołałem w duchu.

Widziałem na zachodnim Kaukazie, pomiędzy Suchum-Kale i Tuapse, górę, gdzie padały wilki, orły i sarny, a i człowiek zginąłby też niezawodnie, gdyby nie siedział na koniu. Na zboczach góry wydobywają się z ziemi suche źródła gazu węglowego, zabijające żywe

stworzenia. Gaz trzyma się grubą warstwą nad ziemią, lecz jeździec, na szczęście, ma głowę ponad tą atmosferą, tającą w sobie śmierć.

Niezawodnie tu, na tej górze, w przybytku złego demona, mamy to samo zjawisko.

Jakże dobrze zrozumiałem teraz mistyczny strach Mongołów i groźny urok tego miejsca dla olbrzymich potomków Dżengiz-Chana!

Głowy ich są zawsze ponad trującą warstwą gazu, i na swych dużych, pięknych wierzchowcach mogą oni z łatwością dotrzeć do szczytów góry tajemniczej i groźnej!

Nawet geologicznie daje się potwierdzić to mniemanie. Do Erdeni zbliża się południowo-zachodni koniec obwodu, obfitego w węgiel. Węgiel zaś jest właśnie źródłem gazów: kwasu węglowego i metanu.

Zły demon doskonale skorzystał z tego naturalnego laboratorjum chemicznego, dopomagając planom politycznym sławnych Dżengizydów.

O kilkanaście kilometrów na zachód od Karakorumu, na obszarach, należących do księcia Dobczin-Dżamco, leży małe jeziorko, które czasami pali się czerwonym, dymiącym płomieniem, strasząc Mongołów i tabuny końskie.

Jezioro, naturalnie, jest owiane legendą.

Niegdyś spadł tu z nieba płonący kamień i głęboko wbił się w pierś stepu. Od czasu do

czasu mieszkańcy przestworów podziemnych wypychają ten gorejący kamień na powierzchnię ziemi, a wtenczas zapala on wodę jeziora i znowu pogrąża się w ziemię.

Nie zwiedzałem tego jeziora, lecz jeden z kolonistów rosyjskich opowiadał mi, że na jego powierzchni pływa warstwa nafty, zapalająca się od ogniska pastuchów lub od pioruna.

Bądź co bądź, trudno zrozumieć powody, które pociągały do tego kraju wielkich władców mongolskich, pełniących na Wschodzie swoje historyczne przeznaczenie i pozostawiających po sobie znikające teraz grody, gdzie przebywali z wojskiem, otoczeni kultem religijnym ubóstwiającego ich narodu.

Szczególne wrażenie pozostawiają ruiny Karakorumu, gdzie żył niegdyś i układał szerokie plany wspaniały i mądry Kubłaj Chan, zalawszy Zachód krwią, a Wschód promienną sławą.

Wojowniczy gegeni Pandita długo modlił się na ruinach, pośród których błąkały się cienie dawno zmarłych władców świata, a dusza jego zrywała się do wielkich czynów i sławy Dżengiza i Tamerlana Chromego.

W powrotnej drodze, niedaleko od Dzain-Szabi, zaproszono nas do koczowiska bogatego Mongoła, który właśnie postawił już był ksią-

żęce jurty koloru szafirowego, upiększone dywanami i tkaninami jedwabnemi.

Gegeni przyjął zaproszenie.

Wkrótce siedzieliśmy bardzo wygodnie na miękkich poduszkach, i Pandita błogosławił Mongołów, kładąc im na głowy ręce i przyjmując od nich tradycyjne „chatyki".

Po tej ceremonji podano nam w olbrzymiej misie całego barana ugotowanego, co czyni się tylko dla najbardziej szanownych gości.

Gegeni swoim nożem odkrajał tylne nogi: jedną wziął sobie, drugą podał mnie. Potem odciął kawał mięsa i ofiarował go najmłodszemu dziecku w jurcie.

Było to sygnałem do ogólnego jedzenia.

W mgnieniu oka baran zniknął, pocięty nożami na drobne kawałki. Po chwili w milczeniu rozlegało się mlaskanie warg, głośne żucie, zgrzyt zębów, trzask rozgryzanych kości i wysysanie z nich szpiku.

Gdy gegeni skończył jeść swoją olbrzymią porcję, gospodarz wyjął z ogniska kawałek skóry baraniej z wełną i podał ją „bogu", trzymając dziwny dar obydwiema rękami.

Pandita znów dobył noża, zeskrobał węgiel, popiół i włosy, poczem zaczął odcinać cienkie plasterki tłuszczu i z apetytem spożywać.

Jest to najwytworniejszy i rzeczywiście bardzo dobry przysmak mongolski, tak zwany

„sułty“ t. j. wystająca, mocno otłuszczona wypukłość na piersi barana, tuż pod szyją. Ten kawałek ścinają wraz ze skórą i wełną i pieką w gorącym popiele ogniska.

„Sułty“ ofiarowuje gospodarz najbardziej poważanemu gościowi, który nie ma prawa dzielić się tym przysmakiem, gdyż inaczej obraża ofiarodawcę i gwałci tradycję.

Po obiedzie Mongoł zaproponował nam wyjazd na polowanie na „argali“, czyli barany skalne, których duże stado pasło się na kamienistem wzgórzu o parę kilometrów od jurt.

Podano nam świetne wierzchowce z bogato ozdobionemi kulbakami i uzdami, przyczem koń „boga“ gegeni miał rzemienie uzdy i rynsztunku przybrane skrawkami czerwonej i żółtej tkaniny; była to oznaka godności księcia i wyższego dostojnika lamaickiego.

Tłum konnych Mongołów pędził za nami. Gdy zsiedliśmy z koni, postawiono nas za odłamami skał o 300 kroków jeden od drugiego. Mongołowie, rozdzieliwszy się na dwie partje, zaczęli otaczać górę, wznosząc się coraz wyżej, i wkrótce zniknęli nam z oczu.

Stałem nieruchomo za skałą. Czekałem dość długo, gdy naraz daleko pośród kamieni i skał coś mignęło i przepadło, jak zjawa.

Za chwilę ujrzałem mknącego olbrzymiemi susami, wspaniałego „argali“, za którym pę-

dziło, prawie płaszcząc się po ziemi, całe stado, składające się z 20—25 sztuk.

Zakląłem ze złości, gdyż byłem przekonany, że stado przerwało się przez Mongołów, których nie było wpobliżu, aby zmienić kierunek ucieczki argali. Lecz się omyliłem. Z poza skał nagle wynurzył się jeździec i machnął kilka razy rękami. Stado, zakręciwszy młynka na miejscu, odrazu zmieniło kierunek i pomknęło ku mnie; tylko stary baran się nie uląkł i dał drapaka tuż obok nieuzbrojonego Mongoła.

Strzelałem dwukrotnie i dwa barany padły ranne śmiertelnie. Pandita zastrzelił jednego argali i niespodziewanie przebiegającą antylopę piżmową (*gazella mosca Cabarga*).

Rogi jednego z argali, zabitych przeze mnie, ważyły przeszło 30 funtów, chociaż był to młody jeszcze okaz.

W tej miejscowości wszędzie się spotyka większe lub mniejsze stadka argali, które wcale się nie obawiają ludzi, nigdy nie słysząc wystrzałów i nie znając pogoni.

Nazajutrz po powrocie do Dzain-Szabi z wycieczki z Panditą wyruszyłem w wygodnej bryczce wraz ze starym kolonistą, jadącym ze mną w roli tłumacza, do Wan-Kure.

Do dyszla bryczki był przywiązany rzemieniami drąg poprzeczny.

Mongołowie podnosili dyszel wraz z drągiem do góry, i pod drąg wjeżdżało czterech jeźdźców-ułaczenów, którzy kładli go sobie na kolana i odrazu ruszali galopem. Ztyłu za bryczką pędziło jeszcze czterech ułaczenów dla zastąpienia pierwszych, wiodąc za sobą konie zapasowe.

Przed opuszczeniem klasztoru poszedłem pożegnać gegeni, który ofiarował mi duży chatyk i zasypał podziękowaniami za lekarstwo, które mu podarowałem.

— Co za wspaniałe lekarstwo! — wołał w zachwycie. — Czułem się po podróży zmęczony i rozbity, zażywszy zaś twego lekarstwa, odrazu wyzdrowiałem! Dziękuję, dziękuję!

Biedaczysko „bóg“ przełknął „osmium-iryd“, który oczywiście nie mógł mu zaszkodzić, ponieważ zaś po przyjęciu tego środka poczuł się lepiej (według swego mniemania), zwracam więc uwagę lekarzy na ten zadziwiający wynalazek; dodam tylko jeszcze, że nie jestem pewien, czy Pandita połknął zawartość rurki, czy również i rurkę szklaną.

II.

ZWIASTUN ŚMIERCI.

Odjechawszy kilkanaście kilometrów, dostrzegliśmy z góry długi wąż jeźdźców, przejeżdżających przez błotnistą równinę. Był to jakiś znaczny oddział, liczący około 300 ludzi. Po upływie pół godziny moja bryczka zrównała się z czołem oddziału na brzegu grząskiego i głębokiego potoku.

Oddział, złożony z Mongołów, Burjatów i Tybetańczyków, był uzbrojony w karabiny rosyjskie. Na czele jechało dwóch jeźdźców. Jeden z nich w czarnej „burce“ kaukaskiej, w olbrzymiej barankowej czapie i z czerwonym „baszłykiem“, rozwiewającym się na ramionach nakształt skrzydeł drapieżnego ptaka, ruszył ku mnie koniem, zagrodził mi drogę i głuchym głosem rzucił trzy pytania:

— Kto? Skąd? Dokąd?

Odpowiedziałem również lakonicznie.

Wtedy jeździec podjechał jeszcze bliżej i rzekł:

— Oddział nasz idzie na zachód, dokąd został wysłany przez barona Ungern von Stern-

berga pod dowództwem rotmistrza Wandałowa, je zaś towarzyszę mu, jako sędzia wojenny. Jestem kapitan Bezrodnow.

Przy tych słowach nagle roześmiał się głośno. Jego zuchwała, zwierzęca twarz wydała mi się dziwnie wstrętna. Ukłoniwszy się, wymieniłem swoje nazwisko i kazałem ułaczenom ruszać.

— Przepraszam! — zawołał kapitan i znowu zagrodził nam drogę. — Nie mogę puścić pana dalej. Mam z panem bardzo dużo do pomówienia w ważnej sprawie. Jestem zmuszony zawrócić pana do Dzain-Szabi.

Protestowałem, pokazując pismo pułkownika Kazagrandi, lecz oficer przerwał mi zimnym głosem:

— Pisać listy to rzecz Kazagrandiego, a zmusić pana do powrotu do Dzaina jest moją sprawą. Proszę teraz oddać mi broń!

Uczynić tego nie chciałem nawet w razie, gdyby mi groziło niebezpieczeństwo.

— Niech mi pan powie szczerze — rzekłem z oburzeniem — czy to jest oddział, walczący z bolszewikami, czy, co jest pewniejsze — czerwona banda?

— Upewniam pana — rzekł, podjeżdżając, drugi oficer, Burjat Wandałow — że jest to oddział z dywizji generała barona Ungerna. Już blisko trzy lata walczymy z sowietami.

— Tem bardziej więc nie mogę oddać panom broni — spokojnie już ciągnąłem dalej — gdyż przewiozłem ją przez kordony bolszewickie, walczyłem nią, a teraz mam być rozbrojony przez takich samych, jak ja, wrogów bolszewizmu? Nie mogę pogodzić się z tą myślą, panowie!

Oficerowie spoglądali na siebie ze zdumieniem i zakłopotaniem.

Zrozumiałem, że mój protest nie pomoże, i, skorzystawszy z ich chwilowego zmieszania, cisnąłem nagle mój karabin i rewolwer do potoku.

Bezrodnow aż zzieleniał ze złości.

— Oswobodziłem siebie i was od hańby — rzekłem.

Bezrodnow gwałtownie zawrócił konia i odjechał. Cały oddział zaczął posuwać się za nim; tylko dwóch ostatnich jeźdźców stanęło za moją bryczką i kazali ułaczenom ruszać za oddziałem.

A więc byłem aresztowany!...

Jeden z konwojujących mnie ludzi był Rosjaninem. Pamiętam tego nicponia.

Nazywał się Bogdanow, a twierdził, że był studentem politechniki piotrogrodzkiej.

Dowiedziałem się od niego, że oddział kieruje się do Uliasutaju dla „zaprowadzenia tam ładu“, i w tym celu Bezrodnow ma w kieszeni

kilkanaście wyroków śmierci, już podpisanych przez „krwawego“ barona.

Bogdanow, mówiąc to, śmiał się głośno, bezczelnie patrząc mi w oczy.

Rozmowa ta przekonała mnie, że wyrok śmierci zapadł też i na mnie za ratowanie Uliasutaju od dzikiego pogromu i za uczestniczenie w konferencji chińsko-mongolskiej, która zapobiegła wojnie pomiędzy Chińczykami i Mongołami na Zachodzie.

— Bardzo głupio się stało! — myślałem, wlokąc się za oddziałem. — Warto było bić się z czerwonemi oddziałami, przedzierać o mrozie i głodzie przez Urianchaj i Mongolję, omal nie zginąć w Tybecie, aby teraz oto tu zginąć od kuli Mongoła z oddziału Bezrodnowa gdzieś pod Dzainem! Dla takiej frajdy nie trzeba było iść tak daleko! W pierwszej lepszej „czeka“ na Syberji miałbym możność dawniej pożegnać się z życiem.

Wiedziałem, że Bezrodnowowi nie uda się rozstrzelać mnie, gdyż miałem przy sobie znaczną ilość cyjanku potasu, niezawodnego środka w przygodach tego rodzaju.

Gdy, wlokąc się ogromnie powolnie, przeszliśmy ostatni przed Dzainem łańcuch niewysokich wzgórz, spostrzegłem w dolinie, gdzie stał klasztor, oddział, który już stawiał na-

mioty, rozkulbaczał konie i pętał im nogi, aby puścić na paszę.

Bezrodnow jednak zatrzymał się w domu jednego z kolonistów i natychmiast zawezwał mnie do siebie.

Kapitan przyjął mnie nadspodziewanie grzecznie i nalał mi duży kieliszek wódki, gdyż siedział właśnie przy obiedzie.

Podziękowałem, lecz nie chciałem pić.

— Gniewa się pan? — uśmiechnął się kapitan.

— W stosunku do gwałtu, uczynionego nade mną, słabo powiedziane! — odparłem. — Jestem oburzony i będę szukał zadośćuczynienia.

— To pańskie prawo! — poważnie rzekł kapitan.

— A-a! — pomyślałem. — Przysługują mi jeszcze jakieś prawa, więc śmierć narazie nie jest mi sądzona.

Zaspokoiwszy głód, Bezrodnow przeprosił mię, że jadł w mojej obecności. Przeszliśmy do przyległego pokoju.

— Niech pan wybaczy, że musiałem go zatrzymać i zmusić do powrotu — zaczął — lecz pan zrozumie, iż, mając rozkaz barona Ungerna, „zlikwidowania“ Uliasutaju, chciałem słyszeć od tak czynnego uczestnika wypadków o ich przebiegu, aby sprawiedliwości mniej lub więcej stało się zadość.

Nie wchodząc w ocenę poszczególnych jednostek, skreśliłem w przybliżeniu obraz życia i zdarzeń, które wstrząsnęły nieszczęśliwem miastem.

Z uwag Bezrodnowa zrozumiałem, komu w Uliasutaju grozi śmiertelne niebezpieczeństwo, i byłem zdumiony bogactwem szczegółów, które posiadał kapitan, a także dobremi informacjami, dotyczącemi grupy Poletiki i pułkowników Filipowych, co zupełnie potwierdziło moje co do nich podejrzenia.

Po skończonej rozmowie Bezrodnow wstał i, wyciągając do mnie dłoń, rzekł:

— Bardzo mi się podobała duma pańska, gdy pan odmówił nam oddania broni. Zechciej pan przyjąć ode mnie ten upominek i jeszcze raz wybaczyć przykrą zwłokę w jego podróży.

To mówiąc, podał mi doskonały pistolet Mauzera ze srebrną rękojeścią i, grzecznie uśmiechając się, oznajmił, że bryczka i świeże konie czekają na mnie.

W kilka minut później jechałem już z Dzaina, mając w kieszeni przepustkę kapitana na wypadek spotkania się z jego patrolami, które miały rozkaz zatrzymania wszystkich jadących i odstawiania ich do sztabu oddziału.

III.

SZALONA JAZDA „URGĄ".

Znowu jechaliśmy okolicami znanemi. Przebyliśmy górę, skąd dojrzałem oddział Wandałowa, potok, do którego wrzuciłem swoją broń, i równinę, gdzie, wlokąc się pod eskortą Bogdanowa, miałem dużo ciężkich i przykrych myśli.

Na pierwszym urtonie (stacja, gdzie się zmienia konie) czekała na mnie niemiła niespodzianka. Nie znaleźliśmy tu wcale koni, gdyż zabrał je ze sobą oddział Wandałowa. W jurcie był tylko dozorca z dwoma synami. Obejrzawszy moją „dzarę",*) dozorca ożywił się i oznajmił, że na mocy dokumentu posiadam prawo jazdy „urgą", i że konie dla mnie będą wkrótce.

Wskoczył na okulbaczonego wierzchowca-byka, skinął na dwóch moich ułaczenów i, wziąwszy długi, cienki drążek z pętlą, czyli „urgą", na końcu, oraz kilka uzd, ruszył na step dobrym kłusem.

Bryczka jechała za nim.

---

*) Urzędowy dokument mongolski, nadający prawo korzystania z koni pocztowych.

Zjechaliśmy wbok od naszej drogi i w godzinę potem ujrzeliśmy duży tabun koni.

Dozorca i ułaczeni zapomocą „urgi“ bardzo zręcznie i szybko schwytali kilka koni i z triumfem prowadzili je do bryczki.

Nagle ze wszystkich stron zjawili się konni pastuchowie i, widząc, co się święci, mknęli ku nam, co koń wyskoczy. Jednak, gdy dozorca odczytał im moją „dzarę“, pastuchowie z pokorą okulbaczyli schwytane konie i zastąpili poprzednich ułaczenów, którzy spokojnie odjechali do domów, prowadząc swoje zdrożone wierzchowce.

Przy jeździe „urgą“ podróżuje się nie zwykłym szlakiem urtońskim, lecz od tabunu do tabunu, gdzie się chwyta coraz to nowe konie, i gdzie ułaczenów zastępują właściciele tabunu lub ich robotnicy.

Wszyscy Mongołowie starają się przytem jak najprędzej odbyć tę powinność, mkną, jak szaleńcy, dążąc do najbliższego tabunu innego właściciela.

Podróżnik, posiadający prawo na „urgę“, może osobiście schwytać potrzebną ilość koni i, o ile nie zjawi się ich właściciel lub pastuch, odjechać, zostawiając konie w następnym tabunie. Mongołowie nie lubią poszukiwać swoich koni w cudzych tabunach, więc natychmiast zjawiają się i spełniają obowiązki ułaczenów.

Droga, oraz szlak urtoński, którym jechałem, były zupełnie niezaludnione, gdyż w tych okolicach tubylcy, nastraszeni potyczkami i ciągłemi rekonesansami mongolskich i rosyjskich oddziałów, zwinęli urtony i koczowiska i odeszli w góry, gdzie, nie bacząc na nagą i pustą okolicę, umieją się kryć i znikać bez śladu.

Dzięki tym okolicznościom przejechałem około 350 kilometrów przez bezludną część środkowej Mongolji w granicach chanatów Sain Noin i Tuszetu.

Dało mi to możność uczynienia szeregu spostrzeżeń nad miejscową, nader interesującą fauną.

Spotykałem coraz częściej olbrzymie stada antylop mongolskich (*gazella gutturosa* oraz *gazella subgutturosa*). Niektóre z tych stad liczyły po 5000 sztuk.

Na skalistych zboczach gór widziałem nieraz grupy dumnych i ostrożnych argali (*ovis ammon*), niewielkie stada antylop piżmowych (*gazella Cabarga*); w gaikach, schowanych w głębi wąwozów, szare, bystre dziki (*sus scrofa*) z brunatnemi pręgami na grzbietach, zawzięcie ryły ziemię; na wysoko położonych pastwiskach „alpejskich“ wspaniałe jelenie — *vapiti* — żerowały, lub schodziły niżej i chciwie lizały białe plamy zwietrzałej soli, wykwitającej, jak szron, na ziemi. Kilka razy na widnokręgu za-

majaczyły, niby widma mknące, dzikie konie (*equus-primigenius Przewalski*) i dzikie osły (*equus hemionus*).

Spotykałem też i starannie obserwowałem kolonje świstaków.

Na przestrzeni kilku kilometrów kwadratowych widniały tysiące małych pagórków, pod któremi ukryte były głębokie, przestronne nory. Miały tu siedziby świstaki, te największe okazy z rodzaju gryzoniów.

Pomiędzy norami stale przebiegały i kręciły się zwierzątka żółte lub brunatne, dosięgające czasem wielkości niedużego psa. Biegały ciężko, przewalając się z jednego boku na drugi, przyczem skóra na ich tłustych kadłubach fałdowała się i ruszała, jak gdyby była za szeroka.

Świstaki są doskonałymi górnikami — poszukiwaczami rudy. W usypywanych rzez nich pagórkach odnajdywano nieraz złoto, cynę, miedź i ołów, które wykopują one z ziemi przy budowaniu nor.

Świstak, zbliżając się do swojej nory, nagle zatrzymuje się, siada na tylnych łapach i zamienia się w nieruchomy słupek, który łatwo można wziąć za kamień lub kawał wystającego z ziemi drzewa. Spostrzegłszy jeźdźca, zaczyna mu się ciekawie przyglądać, gwiżdżąc przytem przeciągle.

Myśliwi korzystają z tego dla swoich celów.

Znając ciekawość zwierząt, pełzną w stronę nor, wymachując kijkiem z uwiązaną na jego końcu szmatką. Cała uwaga świstaka skierowuje się wtedy na nieznany, zaciekawiający go przedmiot, i dopiero kula, przeszywająca biedne zwierzątko, rozstrzyga domysły, rojące się w jego okrągłej główce. Mongołowie chętnie polują na świstaki, zabijając rocznie do dwóch miljonów sztuk. Tłuste i smaczne mięso świstaka zjadają, skórki zaś sprzedają Chińczykom, którzy eksportują je do Chin, gdzie futro tych zwierzątek jest ogromnie poszukiwane przez najszersze warstwy społeczeństwa, gdyż jest lekkie, ciepłe i tanie.

Świstak jednak bywa też niebezpieczny dla ludzkości, gdyż najzwyklejszą chorobą tego gryzonia jest straszliwa dżuma, łatwo udzielająca się ludziom.

Nader podniecającą scenę obserwowałem pewnego razu niedaleko rzeki Orchona w granicach posiadłości księcia Beje-Sando.

Spotkałem tam tysiące nor, i trzeba było wielkiej uwagi ułaczenów, aby konie nie połamały sobie nóg w dołach, wykopanych przez świstaki. Naraz spostrzegłem dużego orła, który zawisł wysoko w powietrzu, wypatrując zdobycz. W pewnej chwili spadł on na ziemię, jak kamień, i usiadł na pagórku tuż za norą, gdzie przed chwilą schował się świstak. Orzeł

siedział nieruchomo, jak posąg ze śpiżu lub z czarnego marmuru. Świstak po kilku minutach wybiegł z nory i skierował się do nory sąsiada, widocznie z jakiemiś świeżemi i ważnemi nowinami, tyczącemi się może mojej grzmiącej i skaczącej bryczki.

Orzeł natychmiast ciężko zeskoczył z pagórka, usiadł przed norą świstaka i jednem skrzydłem zakrył wejście do niej.

Świstak, posłyszawszy szmer, zatrzymał się, spojrzał w stronę swojej siedziby i z przeraźliwym gwizdem ruszył do ataku, chcąc się dostać do swego domu, gdzie pozostawił rodzinę.

Rozpoczęła się bitwa.

Orzeł walczył swobodnem skrzydłem i dziobem, nie otwierając wejścia do nory; świstak zaś skakał na wroga z wielką odwagą, lecz wkrótce padł, otrzymawszy kilka ciosów w głowę. Wtedy dopiero orzeł zwinął skrzydło, zbliżył się do leżącego przeciwnika, dobił go uderzeniem potężnego dzioba i, z trudem podniósłszy zdobycz, odleciał w miejsce bezpieczne na smaczne i obfite śniadanie.

Opowiadano mi jednak, że czasem świstakowi udaje się zwalczyć orła, odgryzłszy mu nogę ze straszliwemi szponami i zmusiwszy w ten sposób do ucieczki.

W miejscach, prawie zupełnie pozbawionych roślinności, gdzie tylko tu i owdzie wystają

z suchej ziemi źdźbła trawy, spotykałem inne gryzonie, tak zwane po mongolsku „imurany“.

Są to bardzo ruchliwe zwierzątka, szybkie w biegu, nie większe od wiewiórki, o futerku koloru szarego piasku, doskonale przystosowanem do ogólnego tła miejscowości. Setki ich śmigają po stepie, zbierając przyniesione z wiatrem nasiona roślin, i żyją spokojnie, dopóki ludzie nie zwrócą niebezpiecznej uwagi na ich skórki. Imurany posiadają nory w postaci głębokich, okrągłych dziur w twardej ziemi. Zwierzątko to ma oddanego sobie przyjaciela, którym jest wielki skowronek stepowy (*Larca flava*), żółtoszary z brunatną główką i z grzbietem koloru ciemnej rdzy.

Spostrzegłszy mknącego imurana, ptaszek natychmiast podlatuje do niego, siada mu na grzbiet i, naprzemian — śpiewając lub trzepocąc skrzydełkami i łapiąc pasorzyty, trapiące przyjaciela, odbywa wesołą konną przejażdżkę ku widocznemu zadowoleniu zwierzątka, zamaszyście wywijającego długim ogonkiem z ciemną kitą na końcu. Mongołowie bardzo trafnie nazywają imurana „rumakiem wesołego skowronka“.

Skowronek i imuran mogą służyć za przykład tak zwanej „obronnej symbjozy“. Imuran wyrzuca z nory robaczki, liszki i różne odpadki swego gospodarstwa, z czego korzysta skowronek w tych pozbawionych pokarmu

miejscowościach. Ptak zaś zastępuje swemu przyjacielowi wartę: gdy spostrzeże krążącego sępa, natychmiast wydaje dwa krótkie gwizdki na trwogę i zapada gdzieś pod kamień, znikając bez śladu na szarożółtej powierzchni stepu. Po tym sygnale żaden imuran nie wymknie się już ze swych podziemnych labiryntów, oczekując spokojnie na wesołą arję skowronka, gdy już nieprzyjaciel odleci.

W ten sposób w warunkach przyjaznego sąsiedztwa żyją w mongolskich stepach głodowych i w pustyni skowronek i jego „koń"-imuran (*Lagomys ladacensis*).

W kilku miejscach Mongolji, a mianowicie w dolinie rzeki Mureni i na granicy Bargi spotkałem jeszcze jednego gryzonia stepowego. Był to czarny szczur stepowy z rodzaju *Microtus*, podobny z kształtu ciała, z zabarwienia i braku ogona do zwykłego kreta. Szczury te żyją kolonjami i są świetnymi gospodarzami, nagromadzając olbrzymie zapasy żywności na zimę; mają one część swoich śpichlerzy na powierzchni ziemi. Niedaleko od okrągłego otworu, prowadzącego do nory, szczur układa wysoki na 2 stopy stóg siana. Swemi wystającemi, przedniemi zębami „kosi" trawę, suszy ją i składa w prawidłowy, okrągły stóg, w środku którego chowa w dołku, wykopanym w ziemi, nasiona i korzenie pokarmowe.

W obawie, iż wściekłe wichry zimowe mogą zburzyć jego pracę, szczur wynalazł sposób na zaradzenie złemu. Ścina on trzy cienkie gałązki i przetyka niemi swój stóg, związując wystające końce ich źdźbłami mocnej trawy. Taki stóg jest zabezpieczony od zburzenia, gdyż jest tak mocny, iż kopnięciem nogi nie za każdym razem mogłem go rozwalić. Konie i wielbłądy starannie poszukują szczurzych stogów, gdyż są one złożone z najsmaczniejszych i najpożywniejszych gatunków trawy.

W dolinie Orchona, porosłej wysoką, dobrą trawą, spotykałem duże stada kuropatw-jaskółek, czyli „salg" (*Perdrix hirundo-Salga*), które są charakterystycznym dla Mongolji okazem ornitologicznym, zamieszkującym zarówno stepy, jak i pustynię. Ten rodzaj kuropatw posiada jasno-szare „mimetyczne" zabarwienie i dwa długie pióra sterowe w ogonie, co właśnie podczas lotu nadaje tym ptakom, stale świergocącym, wielkie podobieństwo do dużych jaskółek. Samiec-kuropatwa w szarem opierzeniu ma brunatno-czekoladowe plamy na grzbiecie i na skrzydłach, nogi zaś pokryte krótkiemi, lecz gęstemi i twardemi piórami.

Dzięki jeździe „urgą" poczyniłem cały szereg ciekawych spostrzeżeń zoologicznych, z których najcenniejsze były obserwacje nad dzikiemi końmi i osłami, naogół bardzo do siebie

zbliżonemi: jednakowej, szaro-żółtawej barwy z brunatną lub czarną pręgą, idącą przez grzbiet. Okazy te nie są większe od koni kurlandzkich lub fińskich, tylko nogi mają krótsze i bardziej krępe. Dziki koń (*Equus primigenius Przewalski*) ma dłuższą pręgę ciemną.

Dziki osioł (*Equus Hemionus*) ma czasem pręgi dodatkowe, spuszczające się na boki, krótszą grzywę i ogon długości średniej, większe uszy i znacznie szybszy bieg. Mongołowie nazywają dzikie konie i osły kułanami; polują na nie z powodu smacznego mięsa. Są to dzikie zwierzęta i prawie nigdy nie zbliżają się do tabunów koni oswojonych.

Mongołowie wieźli mnie szybko i uczciwie, zbytnio nie oddalając się od wytkniętego kierunku i otrzymując w nagrodę za to srebrne dolary chińskie, których pewną ilość zarobiłem w Uliasutaju lekcjami francuskiego i angielskiego, udzielanemi kupcom chińskim i kolonistom rosyjskim.

Lecz widocznie przyzwyczajenie moje do siodła, na którem zrobiłem już 5000 mil angielskich, dało mi się we znaki. Trzęsienie i kołysanie się mojej bryczki rozbiło mię doszczętu.

Skacząc przez kamienie, nory świstaków i rowy, bryczka mknęła unoszona przez czwórkę dzikich koni, klekotała, trzeszczała i jęczała, i chyba tylko przez upór, a może dla podtrzy

mania reputacji „wygodnych powozów mongolskich“ nie rozsypała się na kawałki.

Wszystkie stawy, głowa, zęby, nawet oczy zaczęły mię boleć. Jęczałem i kląłem. Wreszcie dostałem ostrego paroksyzmu ischiasu.

Do rana nie zmrużyłem oka, nie mogłem leżeć, ani siedzieć. Całą noc przechodziłem pomiędzy jurtami jakiegoś koczowiska, utykając na chorą nogę, jęcząc boleśnie i słuchając potężnego i niezupełnie muzykalnego chrapania pastuchów; od czasu do czasu staczałem energiczne walki z całą zgrają czarnych, złych psów, marzących o dobrej kolacji z mięsa nieznanego cudzoziemca, błąkającego się nocami po stepie.

Nazajutrz wyruszyliśmy w dalszą drogę, lecz jechaliśmy tylko do południa.

Czułem się bardzo źle; ból stał się nie do zniesienia. Zatrzymałem się w jakiejś jurcie na skraju małego klasztoru i postanowiłem się leczyć. Jednak, chociaż połknąłem cały zapas swojej aspiryny i chininy, ból nie zmniejszał się wcale, przeciwnie, coraz bardziej się potęgował.

Wreszcie gospodarz jurty zapytał mnie, czy nie chciałbym poradzić się doskonałego lekarza-lamy. Poradziłbym się chętnie nawet djabła, aby mi tylko ulżył cokolwiek!

Wkrótce wysoki, chudy i nader poważny lama badał mój puls; skrzyżowawszy mi obydwie ręce, wysłuchał bicie serca, opukał całe ciało i rzekł:

— Jesteś zdrów, jak dziki „jak", lecz rozbiła cię jazda na siodle, a reszty dokonała bryczka... Dam ci dwa proszki. Jeden wypij z gorącą wodą, drugi — z zimną. Przez noc będziesz cierpiał, rano wsiądziesz na koń. Wszystko minie... Om! Om!

Otrzymawszy honorarjum, przyniósł proszki i sam mi je przyrządził. Były one obrzydliwie gorzkie i jak gdyby przetłuszczone. Po chwili poczułem gwałtowne bicie serca, potem przypływ krwi do głowy i straszny, wzmagający się ból w nodze i grzbiecie, co zmusiło mię do wstania i wyjścia z jurty; zacząłem biegać, żeby choć trochę zapomnieć o bólu.

— To dobrze! — cieszył się mój lekarz-lama, wypijając dziesiątą miseczkę herbaty. — Leki działają!

W duchu życzyłem mu wszelkich klęsk europejskich i mongolskich; biegałem, siadałem, aby za chwilę znowu się porwać z miejsca i rozpocząć chodzenie, raczej gonitwę, chwytając się co chwila za nogę i grzbiet. Tak przeszła noc. Przy pierwszych blaskach świtu, ból począł się zmniejszać, a gdy lama odsłonił płachtę, okrywającą w nocy dymowisko, wpu-

szczając różowe promienie słońca, zjawiającego się z poza gór, zmówił krótki pacierz poranny i zwrócił się do mnie ze słowami powitania, byłem zdrów!

Z apetytem zjadłszy śniadanie, kazałem okulbaczyć dla siebie konia i jechałem obok bryczki, w której paradował mój przewodnik, stary kolonista.

Podczas kulbaczenia koni do jurty nagle podjechał pułkownik Filipow. Oznajmił mi on, że kapitan Bezrodnow zatrzymał całą ich grupę w Dzain-Szabi, pozwalając tylko jemu jednemu jechać do Wan-Kure dla spotkania się z baronem Ungernem, którego tam właśnie oczekiwano.

Tak opowiadał pułkownik Filipow, a w tym samym czasie całą jego grupę stracili Mongołowie i Tybetańczycy Bezrodnowa w ponurym wąwozie Dzaińskim. Tego jednak wtedy Filipow nie wiedział, jak również nie wiedział, że przed nim innym szlakiem przemknął do Wana goniec z listem kapitana do krwawego barona...

Filipow ogromnie się śpieszył i, wypiwszy naprędce herbatę, ruszył dalej, zamierzając przed wieczorem być w Wan-Kure, gdzie stał obóz pułk. Kazagrandiego.

IV.

STARY WRÓŻBIARZ.

Opuściwszy klasztor, jechaliśmy drogą urtońską. Konie były słabe i zniszczone ciągłą jazdą z rozkazu pułk. Kazagrandiego oraz miejscowego „choszunnego“ księcia, Dajczyn-Wana. Prócz tego do Wan-Kure podążał Pandita gegeni z 30 jeźdźcami eskorty, śpiesząc na spotkanie z baronem Ungernem.

Zmuszeni byliśmy zanocować na ostatnim urtonie, gdzie dozorcą był stary, otyły pastuch; oprócz niego w jurcie zastaliśmy jego syna, młodego olbrzyma o pięknej, śmiałej twarzy.

Gdy z zachwytem spoglądałem na tak wspaniały okaz ludzki, stary, uśmiechając się z dumą, rzekł:

— Ten młodzik zrobi swoje w życiu! Już teraz, z rozkazu księcia, gołemi rękami schwytał w górach stare, zdziczałe jaki i przywlókł je do książęcej jurty. Książę dał mu zato tytuł „merina“*).

*) Urzędnik, naczelnik powiatu.

Młodzian nawet nie spojrzał na nas; siedział zadumany i palił fajkę.

Wieczorem, po kolacji stary wziął łopatkę baranią, starannie ją oczyścił nożem, opalił do czarna na węglach, otrząsnął z popiołu i uważnie rozglądał pod światło ogniska.

— Będę ci wróżył... — rzekł i nagle urwał, z przerażeniem patrząc mi w oczy.

— Cóżeś zobaczył? — spytałem, uśmiechając się.

— Milcz! — szepnął Mongoł. — Widziałem rzecz straszną...

Znowu położył kość na węgle, potem zaczął ją oglądać ze wszystkich stron, szepcąc modlitwy i zaklęcia.

Przejmującym i wystraszonym głosem szeptał przepowiednie:

— Ponura śmierć od wysokiego człowieka o rudych włosach i białej, jak mleko, twarzy stanie za tobą i będzie czyhać, długo, długo. Inny znów straszny, biały człowiek stanie się twoim przyjacielem... Stracisz wielu znajomych, zanim nastąpi czwarty dzień... gdyż umrą od długiego noża... Już widzę, jak ich ciała szarpią psy... Pamiętaj o małym trójkącie na wierzchołku dużego... Strzeż się człowieka o głowie w kształcie siodła. Ten będzie szukał twojej śmierci... Przez krzyż,

znak śmierci, widzę szczelinę w kości. Śmierć może odejść... Zbierz siły i odwagę!

Pijąc herbatę, długo siedzieliśmy jeszcze po wróżbiarskich praktykach dozorcy, lecz stary Mongoł patrzył na mnie z zabobonnym strachem.

Przypomniałem sobie stare dzieje, gdy, siedząc w więzieniu, jako przestępca polityczny, z takim właśnie nieokreślonym strachem spoglądałem w oczy skazanym na śmierć, bojąc się spotkać z ich wzrokiem. Lecz prędko otrząsnąłem się od tych wspomnień i wrażeń i zasnąłem bardzo spokojnie i mocno.

Do Wan-Kure pozostało jakieś 25 kilometrów. Tam przecież są Europejczycy, z którymi można rozmówić się po ludzku! Wobec niebezpieczeństw miałem już wyrobioną stanowczość, pomysłowość i sztukę przekonywania ludzi, w ostatecznym zaś razie Mauser lub... cyjanek potasu.

Nazajutrz, wyjechawszy z urtonu około 11-ej, ujrzałem pałac Dajczyn-Wana, potem zabudowania klasztoru, świątynie chińskiej architektury i nieco na uboczu osadę handlową, gdzie się mieścił sztab Kazagrandiego.

Nad wrotami powiewał sztandar brygady pułkownika. Wszedłem do długiej, niskiej szopy i oznajmiłem oficerowi dyżurnemu o swoim przyjeździe; wkrótce byłem otoczony

zbiegającymi się ze wszystkich stron oficerami, którzy dobrze znali moje nazwisko jeszcze za rządów adm. Kołczaka. Przyszedł pułkownik Kazagrandi, bardzo dobrze wychowany i wykształcony człowiek lat czterdziestu, znany w kołach wojskowych z powodu bohaterskiej obrony wyspy Moon w zatoce ryskiej podczas wojny z Niemcami. Jak się okazało, był on moim słuchaczem z politechniki w Tomsku.

Pułkownik spotkał mnie niemal radośnie i bardzo serdecznie, zaprowadził do przygotowanego już pokoju i dał mi możność wymycia się w dobrej łaźni rosyjskiej.

Złożyłem wizytę miejscowemu staroście, i tam właśnie nadbiegł pułk. Filipow, witając mnie hałaśliwie i z radością demonstracyjną.

Po nim zaraz wszedł wysoki oficer o rudej czuprynie, o zadziwiająco białej, nieruchomej twarzy i szeroko rozwartych, zimnych, niebieskich oczach, które zupełnie nie pasowały do niemal dziecięcych ust. W oczach oficera była taka zawziętość, nienawiść i okrucieństwo, że wprost nie mogłem patrzeć na tę przystojną, dziwną twarz. Załatwiwszy ze starostą jakiś interes, oficer wyszedł, nie zapoznawszy się z nami.

Dowiedziałem się, że był to kapitan Wesełowskij, adjutant gen. Riezuchina, przyjaciel barona Ungerna, dowódcy konnej dywizji,

która już biła się na pograniczu zabajkalskiem z wojskami sowieckiemi. Riezuchin i Wesełowskij przybyli tu tego ranka dla widzenia się z baronem.

Na obiedzie byłem u Kazagrandiego, który wyjaśnił mi przyczynę zaproszenia do Wana.

Sprawa tak się przedstawiała:

Baron z powodu wewnętrznej niezgody pośród oficerów w Uliasutaju, oraz zhańbienia rabunkiem honoru oficerskiego i pogwałcenia umowy mongolsko-chińskiej, rozkazał rozstrzelać wszystkich oficerów i saita. Przedtem jednak Kazagrandi chciał otrzymać informacje ode mnie, aby ocalić niewinnych. Broniłem więc, jak mogłem, pułk. Michajłowa i saita Czułtun-Bejle, nie chcąc charakteryzować działalności grupy Poletiki i Filipowych, tem bardziej, że sam Filipow był w Wanie i mógł udzielić wyjaśnień najbardziej przekonywających.

Dowiedziałem się teraz, iż przyczyną zapraszających listów Kazagrandiego był głównie rozkaz bar. Ungerna, który koniecznie chciał widzieć się ze mną. Dowiedziałem się też, iż Geja wraz z rodziną, t. j. z żoną, teściową i trojgiem dzieci wywieziono w dniu mego przybycia z Wana również z rozkazu barona.

— Wywieziono ich do sztabu generała Riezuchina — mówił Kazagrandi — lecz nie dojadą...

— Dlaczego?

— Będą straceni w drodze... Taki rozkaz barona...

— Trzeba ich ratować! — zawołałem. — Przecież i pan, i ja zawdzięczamy dużo Gejowi!

— Tak! tak! — odparł pułkownik. — Bardzo mi przykro, lecz nie wiem, co czynić... Niech pan spróbuje pomówić z Riezuchinem.

Dowiedziawszy się, gdzie mieszka generał Riezuchin, zacząłem się właśnie do niego wybierać, gdy nadszedł Filipow i z wielkim zapałem zaczął dzielić się z nami swemi spostrzeżeniami nad ćwiczeniami wojskowemi Mongołów, odbywającemi się za klasztorem.

Podczas opowiadania Filipowa drzwi się powoli uchyliły, i wszedł oficer małego wzrostu, szczupły, w starym kożuchu mongolskim i w kozackiej czapce z daszkiem. Prawą, zranioną rękę trzymał na temblaku. Kazagrandi powitał przybyłego z wielkim szacunkiem i z pewnem zakłopotaniem.

Był to generał Riezuchin, — „pies łańcuchowy" krwawego barona.

Nastąpiło zapoznanie się.

Generał bardzo zręcznie, aczkolwiek grzecznie i taktownie, wypytywał nas o dwa ostatnie lata naszego życia, żartując i dowcipkując w sposób miły i elegancki.

Gdy wychodził, pośpieszyłem za nim, aby rozmówić się co do Geja.

Riezuchin spokojnie i uważnie wysłuchał opowiadania o moich przejściach w Khathyle, gdzie taką wybitną rolę odgrywał Gej, i rzekł swym cichym głosem:

— Gej był ajentem bolszewików, udawał „białego" żeby lepiej prowadzić wywiad. Baron posiada świeżo pochwycone listy Geja, które nie pozostawiają ani cienia wątpliwości co do jego zdradzieckiej roboty.

Umilkł i po chwili dodał:

— Jesteśmy otoczeni wrogami! Lud rosyjski doszczętu zgnił i za cenę złota jest zdolny do wszelakiej zdrady i ohydy. Tak jest i z Gejem... Zresztą niewarto o nim wspominać, gdyż został już stracony wraz z całą rodziną. Dziś rano moi ludzie zarąbali wszystkich w pobliżu klasztoru...

Z przerażeniem podniosłem oczy na tego eleganckiego oficera o takim pieszczotliwym głosie i miękkich ruchach. W jego źrenicach zobaczyłem całą otchłań nienawiści i stanowczości. Odrazu zrozumiałem i nadmiar szacunku ze strony Kazagrandiego, i paniczny strach, który się malował na twarzach salutujących mu oficerów i szeregowców.

Spełniła się więc w części przepowiednia starego Mongoła z urtonu, gdyż nie upłynęły

cztery dni, a już cała grupa znajomych mi ludzi rozstała się z życiem.

A teraz, zgodnie z przepowiednią, pozostawało straszliwe uczucie stojącej poza mną śmierci...

Skąd ma ona przyjść?

Pomimo, że nie jestem zabobonny, myślałem jednak o wróżbie urtońskiego dozorcy, czytającego z opalonej w ogniu łopatki barana...

Tegoż wieczora otrzymaliśmy wiadomość, że za dwa dni baron ma przybyć do sztabu.

W pośpiechu szalonym inż. Wojciechowicz, Polak, budował na rzece Orchon most dla oddziałów, które miały iść z Urgi do Wana, i dla przejazdu samochodu barona. Gdym oglądał ten most, zauważyłem, iż klasztor Wan-Kure ma formę trójkąta i położony jest na dużym półwyspie trójkątnym, uformowanym przez rzekę Orchon i jej dopływ.

Znowu przypomniały mi się słowa wróżbiarza o dwóch trójkątach.

A więc tu muszę zwalczyć śmierć?

Coprawda, wiedziałem już, że o nią nie jest trudno...

Nazajutrz do Wan-Kure wpadł olbrzymi „Fiat“ barona Ungern von Sternberga, naczelnika konnej dywizji azjatyckiej, honorowego chana mongolskiego, głównodowodzącego, czyli „dziań-dziunia“ armji „Żywego Buddhy“ i oswobodziciela Mongolji.

V.

„ŚMIERĆ STANIE ZA TOBĄ"...

Straszliwy generał, „szalony, krwawy baron" wpadł do Wana nieoczekiwanie, oszukawszy wszystkie warty i ominąwszy patrole. Zatrzymał się w pałacu księcia Dajczen-Wana, złożył wizytę hutuhtu klasztoru i nagle zjawił się w sztabie, skąd posłał po Kazagrandiego.

Po krótkiej rozmowie z pułkownikiem, baron udał się do jurty Riezuchina, jednocześnie wzywając do siebie pułk. Filipowa i mnie. O tem wezwaniu dowiedziałem się od Kazagrandiego, który sam do mnie przyszedł. Chciałem natychmiast iść, lecz pułkownik zatrzymał mię dość długo, a później rzekł:

— No, z pomocą Bożą niech pan teraz idzie!

Dziwne i zatrważające było to pożegnanie.

Przełożyłem z kieszeni za mankiet kożucha flaszeczkę z cyjankiem potasu i, obejrzawszy Mauzer, wyszedłem z domu.

Gdym wszedł na podwórze, gdzie stała jurta barona, zbliżył się do mnie kapitan Wesełowskij. Na jego olśniewająco białej twarzy ponuro

świeciły zimne, nienawiścią pałające oczy. Miał na pasie szablę kozacką i rewolwer bez pochwy. Wszedł do jurty i zameldował mnie.

— Proszę wejść! — rzekł, zjawiając się zpowrotem.

W chwili, gdym miał już dotknąć drzwi jurty, tuż koło progu spostrzegłem kałużę krwi, która jeszcze nie zdążyła wsiąknąć w ziemię.

Coś złowrogiego było w tej niewielkiej czerwonej plamie gęstej, jak gdyby żywej jeszcze krwi...

Zapukałem do drzwi.

— Proszę! — rozległ się wysoki głos tenorowy.

Wszedłem do półciemnej jurty. Na spotkanie moje drapieżnym ruchem skoczył jakiś wysoki oficer, ubrany w jedwabny, jaskrawy „chałat" mongolski, w przelocie uścisnął mi rękę i, nim zdążyłem przyjrzeć się jego twarzy, padł na niskie posłanie i głosem chrapliwym wykrztusił:

— Proszę mówić, kim pan jest?! Tylko prawdę! Mamy tu tylu prowokatorów i szpiegów...

Baron Ungern (bo był to właśnie ów „straszliwy" generał!) utkwił we mnie oczy.

Teraz dopiero mogłem mu się przyjrzeć.

Mała głowa na szerokich, kościstych barkach. Powichrzone, złotawe włosy. Cienkie, długie wąsy rude. Wynędzniała, sczerniała od wiatrów i mrozów chuda twarz, jaką można widzieć na

bardzo starych obrazach świętych. Lecz wszystko to utonęło gdzieś, gdy spojrzałem na ogromne sklepienie czoła ze straszliwą blizną od cięcia szablą. Z głębokich oczodołów połyskiwały stalowe, olbrzymie, okrągłe źrenice jasne, które, jak dzikie zwierzęta z mroku jaskini, śledziły wyraz mej twarzy bacznie, bez zmrużenia powiek. Lewe oko z powodu przekrwienia było jeszcze straszniejsze od prawego.

Poczyniłem te spostrzeżenia w okamgnieniu i zrozumiałem, że mam przed sobą niebezpiecznego człowieka, zdolnego do odruchów natychmiastowych i bezpowrotnych. Niebezpieczeństwo było wyraźne, lecz i obelga, rzucona mi, była również ciężka.

— Proszę usiąść! — szepnął baron głosem syczącym, nie spuszczając ze mnie oczu i skubiąc wąsy.

— Generał pozwolił sobie na zniewagę względem mnie — zacząłem, czując, jak stopniowo wzmaga się we mnie szalony gniew. — Moje imię jest dostatecznie tu znane, ażeby uchronić mnie od przymiotników, wymienionych przez pana. Może pan uczynić nade mną gwałt, jaki mu się podoba, ponieważ przemoc jest po pańskiej stronie, lecz nic nie potrafi mnie zmusić do rozmowy z panem.

Baron nagłym, drapieżnym ruchem spuścił nogi z posłania i, wsparłszy się na łokciu, zaczął

mi się przyglądać jeszcze uważniej. Przestał skubać wąsy. Miałem wrażenie, że rzuci się na mnie.

Zachowując zewnętrzny spokój i zimną krew, przyglądałem się postaci leżącego, oraz jurcie. Dopiero wówczas spostrzegłem siedzącego w ciemnym kącie generała Riezuchina. Zamieniliśmy ukłony w milczeniu. Po chwili znowu spojrzałem na barona. Siedział już, spuściwszy głowę na piersi i zamknąwszy oczy; widocznie, myślał nad czemś.

Chwilami mocno tarł ręką czoło i coś szeptał.

Raptem podniósł się i rzekł, patrząc gdzieś powyżej mojej głowy:

— Odejdź! już nie trzeba...

Szybko się obejrzałem.

Ztyłu, tuż za mną stał Wesełowskij z szablą w ręku, wpatrzony zimnemi oczyma w barona, jak w tęczę.

Kapitan opuścił szablę i wyślizgnął się z jurty.

— Śmierć z ręki białego człowieka o rudych włosach stała za mną... — pomyślałem. — Lecz czy odeszła naprawdę?

Baron rozmyślał jeszcze długą chwilę, a później, wyciągnąwszy ku mnie rękę, zaczął szybko mówić, plącząc się w słowach i nie kończąc zdań:

— Proszę mi wybaczyć... Pan powinien zrozumieć... Tylu zdrajców... Uczciwych

ludzi prawie już nie pozostało... Nikomu nie można ufać... Wszystkie nazwiska przybrane.. fałszywe... Dokumenty łżą. Łżą oczy i języki... Wszystko splugawione, zepsute przez bolszewizm... Przed przyjściem pana kazałem zarąbać pułkownika Filipowa... Dowodził mi, że jest przedstawicielem białej organizacji oficerskiej... Zrewidowano go i znaleziono za podszewką kurtki sowiecki tajny alfabet... Gdy Wesełowskij wzniósł szablę, Filipow... Do djabła!... Tak się wżarła w ludzi przeklęta dyscyplina komunistyczna... Filipow w obliczu śmierci krzyknął: „Za co zabijacie mnie, *towarzyszu* kapitanie?!" Nikomu nie wolno ufać! Nikomu!...

Urwał. Milczałem, nie ruszając się z miejsca.

— Przepraszam pana z całego serca! — zaczął znowu baron. — Obraziłem pana ciężko... Pojmuję... pojmuję... Lecz jam nietylko człowiek, jam — wódz... Na mojej głowie tyle istnień... tyle trosk... i smutku...

W głosie jego posłyszałem szczerość i rozpacz. Znowu wyciągnął ku mnie rękę, i uczułem nerwowy uścisk małej, silnej dłoni.

Zapanowało milczenie. Przerwałem je zapytaniem:

— Co generał rozkaże mi czynić obecnie, gdyż nie posiadam ani fałszywych, ani prawdziwych dokumentów? Znają mię jednak niektó-

rzy oficerowie z pańskiej dywizji; nadto mam nadzieję, iż znajdę w Urdze takich, którzy dowiodą, że nie jestem prowokatorem, ani...

— Dość, dość! — zawołał przerywając mi baron. — Wszystko skończone, wszystko zrozumiane! Wniknąłem w duszę pańską i wiem już wszystko... wszystko... Hutuhtu z Narabanczi pisał mi, że jesteś przeistoczonym bogiem. Modlił się w obecności pana, miał widzenia... Opowiadał o „Wielkim Nieznanym"... Prawdą jest wszystko! Czem mogę panu służyć?

Opowiedziałem mu o naszych przygodach i o tem, że nasza grupa polska dąży do Pacyfiku, aby przedostać się nareszcie do ojczyzny, a więc proszę o pomoc w tej sprawie.

— Z największą przyjemnością dopomogę panom — zawołał baron. — Do Urgi dowiozę pana swoim samochodem... Jutro jedziemy... W Urdze omówimy dalszy plan... Do widzenia, do jutra!

Gdym wychodził z jurty barona, jeszcze raz spojrzałem na kałużę krwi. Teraz wiedziałem, że była to krew pułkownika Filipowa. Jeden moment oddzielał mnie od tego, aby moja krew również powoli wsiąkała w mocno udeptaną ziemię mongolskiego majdanu.

Śmierć z ręki białego człowieka była tuż za mną...

Tymczasem jednak żyłem.

W domu zastałem pułkownika Kazagrandiego, który chodził po izbie w wielkim niepokoju.

— Chwała Bogu! — wykrzyknął na mój widok.

Wzruszyła mnie ta radość pułkownika. Lecz zarazem pomyślałem, że powinienby był może użyć radykalniejszych sposobów, niż modlitwa, dla uratowania od śmierci swego gościa.

Wrażenia ubiegłego dnia bardzo mię wyczerpały nerwowo. Czułem się znużony i zniechęcony. Wydało mi się nawet, że przez te kilka godzin się zestarzałem, i że na skroniach mych zjawiło się więcej siwizny, oczy zaś zapadły głębiej. Położyłem się wcześnie, lecz zasnąć nie mogłem. Widziałem wynurzającą się z ciemności przystojną, beztroską twarz pułk. Filipowa. Nagle znikała, tonąc w krwawej, dymiącej kałuży... Majaczyły mi się zimne oczy Wesełowskiego, w uszach zaś brzmiał syczący głos barona...

Nagle drzwi się otworzyły, i na tle oświetlonego pokoju sąsiedniego zjawiła się wysoka postać Ungerna, za którym wszedł Kazagrandi. Baron szybko zbliżył się do mego łóżka. Pomyślałem, że jest to dalszy ciąg moich mar sennych, lecz w tej samej chwili baron zaczął mówić.

— Przyszedłem pana przeprosić — rzekł, uśmiechając się — iż nie mogę zabrać go jutro

do samochodu, gdyż „Żywy Bóg“ polecił mi przywieźć do Urgi księcia Damczarena. Natomiast kazałem dać panu jutro rano swego własnego białego wielbłąda, doskonałego, rączego wierzchowca, i zostawiłem do usług pańskich dwóch ordynansów-kozaków. Najdalej za osiem dni dojedzie pan do Urgi... Jazda będzie bardzo wygodna... Prowjanty i namiot są już wydane... Przepraszam, że pana obudziłem!

Nie zdążyłem nawet podziękować mu, gdyż Ungern w jednej chwili szybko, niemal biegiem, opuścił mój pokój, i drzwi bez hałasu zamknęły się za nim.

Sen zupełnie mnie opuścił.

Ubrałem się i usiadłem przy stole; zacząłem palić fajkę po fajce, usiłując uspokoić podrażnione nerwy.

Na Boga! Daleko łatwiej było bić się z „czerwonymi“ na Sejbi i przechodzić przez śnieżne szczyty Ułan-Tajgi i Tybetu, gdzie złe duchy i źli ludzie zabijają śmiałków! Tam wszystko było jasne, zrozumiałe, a tu — jakaś zła mara, jakiś wicher ponury i straszny! Wyczuwałem tragedję, grozę w każdem słowie, w każdym ruchu barona Ungerna, za którym szły niby dwa cienie: milczący, o białej, jak mleko, twarzy kapitan Wesełowskij i... śmierć...

VI.

GROZA WOJNY.

Było jeszcze daleko do świtu, gdy do mego pokoju wpadł żołnierz dyżurny i z przerażeniem zawołał:

— Przyszli po pana żołnierze od barona!

Narzuciłem kożuch i wyszedłem. Przed gankiem stało dwóch uzbrojonych ludzi. Jeden z nich — człowiek starszy, z obrzękłą twarzą i obwiązanem szmatą okiem, drugi — młody, dziarski, ubrany starannie.

— Przyszliśmy po pana z rozkazu generała, — oznajmili.

Milczałem, bo nie wiedziałem jeszcze, co to ma znaczyć, a kozak ciągnął dalej:

— Zaraz wyjeżdżamy do Urgi. Baron rozkazał przygotować dla pana swego wielbłąda. Przyszliśmy po siodło i rzeczy pańskie.

Wpół godziny potem mijałem ostatnie zabudowania Wan-Kure, kierując się ku brzegom Orchona. Oprócz kozaków jechało ze mną dwóch żołnierzy mongolskich i kulawy, ga-

datliwy lama. Tuż za klasztorem spostrzegłem zgraję psów, gryzących się koło leżącego trupa. Być może rzucono tam szczątki Filipowa?... Kozacy i Mongołowie milczeli. Szczególnie nieprzychylnie spozierał na mnie starszy kozak. Nikt z nich nie zaczynał ze mną rozmowy, lecz kozacy stale jechali za mną ztyłu. Ta okoliczność wcale mi się nie podobała.

Baron Ungern mógł nie chcieć skończyć ze mną porachunków w Wanie, gdzie prawie wszyscy oficerowie znali mię oddawna, lecz może zamierzał uczynić to nieznacznie podczas mojej wyprawy do Urgi? Przecież to tak łatwo! Kula w grzbiet lub w głowę i — koniec! Psy i wilki dokończą reszty. Dlatego stale miałem się na baczności, przygotowawszy swój rewolwer do natychmiastowego strzału. Nieznacznym manewrem zmusiłem kozaków, aby jechali obok mnie lub przede mną.

Przejechaliśmy most na Orchonie, i tam poprosiłem inżyniera Wojciechowicza, aby pozdrowił ode mnie pułk. Kazagrandiego. W ten sposób chciałem zostawić jakiś ślad po sobie na wypadek ciężkiej przygody.

Po czterech godzinach posłyszałem dalekie huczenie samochodu, i wkrótce obok nas przemknął baron Ungern z dwoma adjutantami i z księciem mongolskim. Generał bardzo uprzejmie pozdrowił mnie, krzyknąwszy:

— Do widzenia w Urdze, profesorze!

— Hm, — pomyślałem, — więc dojadę do Urgi?...

To znacznie mnie uspokoiło na czas drogi do stolicy „Żywego Buddhy“ i „krwawego, szalonego barona“.

Żyłem już oddawna krótkiemi okresami czasu.

W Urdze zajdą nowe okoliczności; tam obmyślę sytuację, tam będzie mój olbrzym — agronom i dwóch bardzo dzielnych żołnierzy polskich.

Po spotkaniu się z baronem kozacy odrazu zmienili swój stosunek do mnie, usiłując zabawiać rozmową i figlami z kulawym lamą. Przy każdej sposobności na wyścigi starali się mi dopomóc i usłużyć.

Opowiedzieli mi oni o bojach swojej dywizji w Zabajkalu z bolszewikami i w Mongolji — z Chińczykami, o niezwykłej, niesamowitej odwadze barona, którego kule najwidoczniej omijają.

Stary kozak opowiadał:

— Gdy przed rozpoczęciem szturmu chińskiego przedmieścia Urgi, Majmaczenu, wojska były już na pozycjach i oczekiwały sygnału, baron siedział sobie spokojnie koło ogniska na stepie. Mroźny wiatr szalał, ścinając krew w żyłach. Generał zaś był bez czapki, palił pa

pierosy i patrzył w ogień. Widocznie o czemś głęboko się zadumał. W jakiś czas potem wstał i, zawoławszy mnie, kazał podać sobie dwa konie. Wskoczywszy na jednego, skinął na mnie. Pojechaliśmy... Była ciemna noc. Jechaliśmy po naszemu, po kozacku, tak jak niegdyś, gdy skradaliśmy się do Niemców, jak wilki lub cienie... Podkowa nie szczęknie, strzemię nie zadzwoni... Zobaczyłem przed sobą światełka. Powiadam: „Ekscelencjo, to już Majmaczen!" On burknął: „Wiem!" — Znów mówię:" „Ekscelencja bez broni!" On zaś wyrżnął mnie przez grzbiet „taszurem"*) i zaśmiał się. „Łżesz! — powiedział — mam broń". Jechaliśmy jeszcze dość długo głębokim wąwozem lub brzegiem rzeki. Gdzieś na prawo od siebie usłyszeliśmy głosy żołnierzy chińskich. Lecz jazda trwała dalej, i po jakimś czasie znaleźliśmy się na tyłach pozycji chińskiej. Co zamierza uczynić baron? — myślałem, patrząc na niego. Zaczęły się wkrótce płoty Majmaczenu. Wjechaliśmy w wąską uliczkę. Baron, zapaliwszy papierosa, spokojnie jechał dalej. Przejechaliśmy ulicę jedną i drugą. Wreszcie baron zatrzymał konia przy jakimś płocie i, stanąwszy na strzemionach, długo się czemuś przyglądał i coś obliczał.

---

*) Taszur — kij bambusowy, z krótkim rzemykiem dla poganiania konia.

Gdy skończył, zawrócił konia i burknął do siebie: „Tych dział nie zdążą wywieźć na pozycję! Jeżeli zdobędziemy miasto prędko, działa przejdą do mnie"... Nagle z zakrętu ulicy wyjechał patrol chiński, złożony z oficera i dwuch żołnierzy. Zerwałem karabin z ramienia, lecz baron głosem spokojnym rozkazał: „Nie strzelaj! Zrzuć żołnierza z siodła nahajem!" Zrobiłem, co kazał. Baron osobiście rozwalił oficerowi głowę taszurem, ja zatłukłem drugiego Chińczyka. Powróciliśmy do swoich i baron odrazu dał sygnał do ataku. Nad rankiem byliśmy już w Majmaczenie i w Urdze. Działa, które stały na podwórzu za płotem, przeszły do barona. Stało się tak, jak mówił.

Na takich opowieściach dzień przemknął niepostrzeżenie. Wielbłądy szły zamaszystym kłusem, robiąc do 80 kilometrów dziennie. Wyjątkowo śmigły w biegu mój wielbłąd, olbrzymie, prawie zupełnie białe zwierzę o wspaniałej grzywie i o wysokich, twardych garbach, podarowane baronowi przez książąt Mongolji Wewnętrznej wraz z dwiema skórkami czarnych soboli, zawieszonemi przy uździe wielbłąda.

O 120 kilometrów na wschód od Orchona spostrzegliśmy pierwszego trupa żołnierza chińskiego. Leżał wpoprzek drogi w ciepłym, szarym płaszczu futrzanym z czarną twarzą o wy-

dziobanych przez ptaki oczach i wyszczerzonych żółtych zębach. Na czole widniała straszliwa rana od cięcia ciężkiej szabli tybetańskiej. Obuwie było zdarte i z watowanych spodni sterczały czarne stopy bez palców.

Trochę dalej pośród kamieni leżało kilka trupów chińskich. Byli to gamini z oddziału, posłanego z Kiachty na pomoc generałowi chińskiemu w Urdze Czen-Y. Po utarczce z wojskami Ungerna rozproszyli się i skierowali na zachód, lecz tu dogonili ich i wytępili Tybetańczycy i Burjaci barona.

Posuwając się dalej, przeszliśmy przez grzbiet Burgucki; zapuściliśmy się w równinę, przeciętą rzeką Toła, na brzegu której, nieco dalej na wschód, leżała stolica mongolska, Urga.

Wkrótce trafiliśmy na szeroki gościniec, zasypany porzuconemi przez uciekających Chińczyków kożuchami, czapkami, butami, kociołkami i innym dobytkiem żołnierskim.

O kilka kilometrów dalej, na bagnisku, spostrzegliśmy dużo nagromadzonych w różnych miejscach trupów ludzkich, końskich i wielbłądzich, połamanych wozów, żelaznych piecyków, kotłów i blaszanek od galet i benzyny, kożuchów, czapek i nawet porwanych woreczków chińskich do tytoniu, oraz fajek. W tem miejscu zatrzymano i zdobyto uciekające obozy oddziału chińskiego.

Straszny był ten obraz śmierci i zniszczenia obok wrzącego dokoła, budzącego się po zimie życia!

W każdej kałuży pluskały się dzikie kaczki i szkarłatne „ptaki — lamowie"; w wysokiej trawie żórawie wyprawiały zabawne skoki; na jeziorach pływały olbrzymie stada dzikich gęsi i łabędzi; na miejscach suchych szukały pożywienia, biły się i biegały dropie; gwiżdżąc, fruwały stadka kuropatw-salg; na zboczu gór wylegiwały się na słońcu wilki, rozmarzone cie płem i wiosną.

Natura kocha życie! Nie znosi śmierci i ślady jej usiłuje ukryć pod białą powłoką śniegu lub bogatą makatą z zieloności i kwiatów barwnych.

Natura nie chce wiedzieć o tem, że gdzieś tam — koło Czifu, czy w wiosce na Yan-Tze staruszka-matka daremnie ofiarowuje bogom ryż i świece, modląc się o życie syna, którego powrotu oczekuje z dnia na dzień, nie wiedząc, że leży on tu, w dolinie Toły, zamordowany, sczerniały, rozszarpany i nikomu nieznany. Natura wie, że trup ten wkrótce zniknie bez śladu pod promieniami słońca, pod tchnieniem wiatru stepowego. Wspaniała jest ta zupełna obojętność przyrody dla śmierci i to umiłowanie przez nią życia we wszystkich jego przejawach

Czwartego dnia pod wieczór dotarliśmy do brzegu Toły. Długo szukaliśmy brodu, lecz

bezskutecznie; wreszcie znudzony bezowocnem poszukiwaniem, zmusiłem swego olbrzyma-wielbłąda do wejścia do wody, chcąc spróbować przebyć rzekę wpław. Na szczęście, trafiłem na mieliznę i wkrótce byliśmy już na przeciwległym brzegu, gdzie rozbiliśmy namiot i spędziliśmy noc. O świcie ruszyliśmy dalej.

O 25 kilometrów za Tołą zaczyna się pole bitwy — trzeciej wielkiej bitwy o niepodległość Mongolji. Tu właśnie szczupła armja rosyjsko-mongolska, pod dowództwem Niemca, barona Ungern von Sternberga, rozbiła piętnaście tysięcy wojska chińskiego, wziąwszy do niewoli 4000 ludzi i wytępiwszy resztę. Olbrzymia przestrzeń stepu była zawalona trupami, chociaż od czasu bitwy minęło już około dwóch miesięcy. Gdzie niegdzie widniały całe góry trupów. Wszędzie widać było połamane wozy, potrzaskane karabiny, rzeczy, porozrzucane w panicznej ucieczce.

Mongołowie zwinęli tutaj swoje koczowiska, miejscowość przeto była bezludna; natomiast we wszystkich wąwozach, pośród kamieni czaiły się wilki, ci towarzysze żołnierza; z niemi zaś staczały zacięte walki ogromne zgraje psów zdziczałych. Wielbłądy nasze z przerażeniem kręciły głowami, trwożnie parskały i tuliły się jeden do drugiego.

Dwie i pół godziny jechaliśmy przez to pole śmierci. Wszędzie leżały trupy... trupy... setki, tysiące trupów, najokropniej rozpłatanych od szyi do bioder, z odrąbanemi głowami i ramionami.

— To cięcia Tybetańczyków! — wołał z uniesieniem młody kozak. — Oj, ci to umieją wywijać szablą!

Przejechaliśmy obok konia, który leżał z szyją odrąbaną prawie przy piersi. Straszliwie pocięte twarze, zdruzgotane czaszki, porozrzucane, odcięte od tułowia dłonie składały się na straszliwą hekatombę, złożoną zachłannemu bogu wojny przez dzikie, waleczne wojska barona Ungerna.

Wreszcie minęliśmy to złowrogie pobojowisko. Zbliżyliśmy się do wartkiego i płytkiego potoku. Mongołowie zeskoczyli z wielbłądów i, zdjąwszy kołpaki, zaczęli pić wodę ze „świętego“ źródła, ponieważ płynęło przez dziedziniec pałacu „Żywego Buddhy“.

Wkrótce potem zobaczyliśmy wysoką górę porosłą gęstym prawie czarnym lasem. W gęstwinie bielały ściany kaplic „obo“ i małych zabudowań mongolskich.

— To jest święty szczyt Bogdo-Uł! — zawołał lama. — Tu przebywają bogowie, ochraniający Żywego Buddhę.

Bogdo-Uł jest jak gdyby ogniwem, łączącem trzy schodzące się tu grzbiety górskie: Dżegił ze wschodu, Gangyn — z południa i Guntu — z północy. Góra jest regalją, własnością panującego w Urdze Bogdo-hutuhtu, czyli „Żywego Buddhy". Lasy przepełnione są różnorodnemi zwierzętami i ptactwem, żyjącem tu zupełnie bezpiecznie, bo polowanie jest wzbronione pod groźbą śmierci, jak również i przejście przez górę. Jeden tylko człowiek przekroczył ten zakaz. Był to baron Ungern, który z setką kozaków przebył Bogdo-Uł, zakradł się do pałacu „Żywego Buddhy" i porwał go w oczach wart chińskich, ochraniających najwyższego mongolskiego dostojnika, aresztowanego z rozkazu Pekinu.

VII.

W MIEŚCIE ŻYWYCH BOGÓW.

Gdyśmy się zbliżyli do lasu, ujrzeliśmy wyłaniający się z poza drzew pałac „boga". U podnóża Bogdo-Uła, za żółtem ogrodzeniem murowanem wznosił się malowniczy budynek w tybetańskim stylu, którego dach z ciemnozielonych, emaljowanych płytek lśnił na słońcu. Naokoło ciągnął się gęsty park i widać było fantastyczne dachy świątyń pałacowych i mniejszych budynków. Dalej widać było drewniany, przerzucony przez Tołę most, który prowadził do miasta mnichów, do czczonego na całym Wschodzie Azji, Ta-Kure, czyli Urgi.

Tu, oprócz „Żywego Buddhy", zamieszkuje cała gromada drugorzędnych cudotwórców, proroków, czarowników i cudownych lekarzy. Wszyscy oni są boskiego pochodzenia i czczeni, jako „żywi bogowie".

Po lewej stronie drogi, na dość wysokiem płaskowyżu stoi klasztor. Jest to najbogatszy i najludniejszy klasztor lamaicki po Lhassie Tybetańskiej. Nad morzem dachów, pokrywają-

cych najróżniejszego rodzaju budynki, wznosi się ogromna, ciemnoszkarłatna wieża „świątyni grodu lamów“, gdzie stoi olbrzymia złocona figura Buddhy, spoczywającego w kwiecie lotosu. Prócz niej na terenie klasztoru rozsiane są dziesiątki mniejszych świątyń i kaplic — „obo“, ołtarzy, wież dla wróżbiarstwa astrologicznego. Dalej — szara, bezbarwna zbita masa domów, jurt i szałasów, gdzie się gnieździ 60.000 mnichów-lamów różnych rang i wieku, zabudowania szkół, archiwów, książnic, burs dla „bandi“ (kleryków) i domów gościnnych dla dostojnych lamaitów z Tybetu lub z kraju Burjatów.

Poniżej klasztoru, na piaszczystej równinie zjawiło się t. zw. cudzoziemskie przedmieście, zamieszkane przez kupców rosyjskich i chińskich; w tej dzielnicy mieszczą się wszystkie sklepy i kantory, oraz barwny, hałaśliwy bazar wschodni. W odległości jednego kilometra widać szarożółty, z gliny ubitej, czworokąt dzielnicy chińskiej Maj-ma-Czenga; a jeszcze dalej ciągnie się nieskończenie długa ulica pomiędzy dwoma szeregami domów rosyjskich, i widnieje cerkiew, szpital, więzienie i ciężki, niezgrabny, ciemnoczerwony budynek trzypiętrowy konsulatu rosyjskiego, obecnie nieczynnego.

Przy samym wjeździe do miasta mnichów, u wejścia do małego wąwozu ujrzałem kilku

żołnierzy mongolskich, znoszących trupy ludzkie do jakiegoś dołu.

— Co oni robią? — spytałem kozaków, lecz ci milczeli, uśmiechając się tajemniczo.

Nagle wyprostowali się, jak struny, i przyłożyli dłonie do daszków od czapek. Z wąwozu wyjechał na dzielnym bachmaciku jakiś wojskowy.

Miał na głowie zieloną czapkę z kokardą oficerską, a na ramionach — szlify pułkownikowskie. Spostrzegłem, że, mijając, przelotnie obrzucił nas ostrym wzrokiem. Zapamiętałem jego szare, prawie bezbarwne oczy, ukryte pod krzaczastemi brwiami siwiejącemi.

Przejeżdżając obok nas, zdjął czapkę i zaczął wycierać chustką spocone czoło. Odrazu rzucił mi się w oczy dziwny kształt czaszki tego człowieka; była to czaszka podłużna, której przednia i tylna część były jak gdyby rozdęte, a wierzchołek głowy przepołowiony wyraźną linją, idącą wpoprzek. Przypominało to poduszkę, przeciągniętą rzemieniem. Był to niezawodnie „człowiek z głową, podobną do siodła", przed którym ostrzegał mię stary wróżbiarz w okolicach Wana.

— Kto to jest? — spytałem kozaków.

— Pułkownik Sipajłow, komendant Urgi... — wyszeptali, wpatrzeni w oddalającego się szybko oficera.

Słyszałem o nim dużo w Wanie i w Dzainie od kapitana Bezrodnowa. Była to najbardziej ponura osobistość na krwawem tle epopei mongolskiej z r. 1921. Sipajłow, technik z wykształcenia, przeszedł przed kilku laty na służbę do żandarmerji carskiej i bardzo szybko zrobił karjerę. Stale zdenerwowany, podniecony, ustawicznie zżymający się od wewnętrznych bólów nerwowych, mówił szalenie szybko, krztusząc się i pryskając śliną; oczy jego w czasie mowy zezowały, a przez całą twarz przechodziły drgania kurczowe. Był to typ psychicznie chory, i baron kilkakrotnie usiłował pozbyć się tego człowieka, który stał się złym duchem buddysty Ungerna. Sipajłow był typem zwyrodniałym, dla którego największą rozkosz stanowiło wykonywanie wyroków śmierci, które sam inicjował i prowokował bardzo starannie i umiejętnie. Podczas tracenia skazańców radował się, pocierał ręce, wyśpiewywał piosenki operetkowe i wymyślał nadzwyczajne tortury dla swoich ofiar.

O komendancie Urgi szeptano wszędzie z niewymowną trwogą, nienawiścią i wstrętem. Cała ponura sława barona, jego bezwzględne, straszliwe okrucieństwo były dziełem rąk i choroby psychicznej pułkownika Sipajłowa. Był to wściekły, krwiożerczy pies, poszukujący ciągle nowych ofiar.

Baron Ungern nieraz w późniejszych rozmowach, prowadzonych ze mną w Urdze, wspominał o wstręcie, o fizycznej prawie nienawiści, jaką czuł do Sipajłowa, i o chęci oddalenia go od siebie. Lecz to mu się nie udawało. Ten bezmiernie odważny człowiek dziwnie bał się Sipajłowa; nie było to uczucie zwykłego strachu, lecz jakiś nie dający się określić lęk mistyczny. Sipajłow bowiem doskonale rozumiał psychikę barona, jego zabobonność, jego mistyczny ustrój umysłowy, bezwzględną idejowość i umiał to wyzyskać.

Podczas pobytu barona w Zabajkalu pułkownik wynalazł jakiegoś burjackiego „szamana" — wróżbiarza, który przepowiedział, że z chwilą rozstania się z Sipajłowem baron zginie śmiercią straszliwą. Buddysta Ungern święcie w to wierzył i od tej pory godził się z obecnością Sipajłowa, który szalał coraz to bardziej, wylewając potoki krwi i mordując dokoła winnych i niewinnych. Rodzinę Sipajłowa wyrżnęli bolszewicy, sam on przeszedł okropne tortury w więzieniu bolszewickiem, skąd wreszcie udało mu się uciec. Ten szalony, krwiożerczy, dyszący nienawiścią, umysłowo chory człowiek mścił się straszliwie...

Zatrzymałem się w filji tego samego domu handlowego, w którym popasałem w Dzainie... Rodzina dyrektora przyjęła mię bardzo serdecz-

nie. Moi towarzysze: agronom i żołnierze polscy natychmiast przybyli do mnie i zaczęli opowiadać o krwawych przeżyciach Urgi i o tysiącach niebezpieczeństw, podstępów, intryg i zbrodni, dokonywanych w tej stolicy „Żywego Buddhy“.

Po śniadaniu wyszliśmy na miasto.

Wszystkiemi ulicami, zaułkami i placami sunęły barwne tłumy ludzi. Gwar uliczny ogłuszył mnie. Ludzie wykrzykiwali, kłócili się przy sprzedaży lub kupnie, przyglądali się pstrym tkaninom chińskim, paciorkom, baranom, bransoletkom, skórom, koniom, obuwiu, ciężkim ozdobom srebrnym do włosów niewiast mongolskich, słowem wszystkiemu, co tylko było ciekawego na ulicy.

Obok rzeźnicy macali przyprowadzone na sprzedaż barany i znaczyli wybrane i kupione zwierzęta czerwoną farbą na grzbietach. Mongolskie strojnisie w swoich olbrzymich uczesaniach, nadających głowie kształty ćmy, w ciężkich czapeczkach srebrnych przesuwały się w tłumie, podziwiając stosy barwnych tkanin, wstążek i długich sznurów sztucznych korali chińskich; poważni, otyli Mongołowie bardzo szczegółowo oglądali niewielki tabun doskonałych źrebców, spokojnie targując się z Dzachaczynem, właścicielem tabunu; chudy, na węgiel spalony Tybetańczyk, który przybył, jako pielgrzym, do siedziby „Żywego Buddhy“, lub może

z jakiemiś tajnemi zleceniami od wyższego jeszcze „boga“ z lamaickiej Mekki — Lhassy, usiadłszy na ziemi, wybierał posążki Buddhy, wyrznięte z czarnego, lub żółtego agatu i przedstawiające Buddhę w kwiecie lotosu z wielkiej świątyni w Urdze. W innem znowu miejscu duży tłum Mongołów i Burjatów otoczył kupca chińskiego, sprzedającego prześliczne tabakierki ze szkła, kryształu, porcelany, ametystu, chryzoprazu, agatu i nefrytu. Były to przecudowne, drogocenne wyroby chińskich, cierpliwych rzeźbiarzy. Za jedną tabakierkę z zielonkawo-mlecznego nefrytu, przeciętego siatką brunatnych żyłek, Chińczyk żądał dziesięć młodych byków, wskazując z zapałem i artystycznym zachwytem płaskorzeźbę, przedstawiającą misternie wykonanego smoka, który otoczył zwojami swego ogona tłum kąpiących się dziewcząt.

Wszędzie można było dojrzeć Burjatów, w czerwonych chałatach jedwabnych i w malutkich czerwonych myckach na dużych, okrągłych głowach, Tatarów w czarnych kożuchach baranich i w aksamitnych „tiubetejkach“.

Ogólne tło jednak stanowili lamowie.

Wałęsali się wszędzie całemi gromadami, ubrani w płaszcze karmazynowe, lub żółte, malowniczo zarzucone przez jedno ramię, w przeróżnych czapkach przypominających grzyby, kołpak frigijski lub też hełm grecki z wyso-

kim grzebieniem. Lamowie stąpali poważnie, rozmawiali prawie szeptem, przebierali różańce i wróżyli żądnym przepowiedni.

Nie było to jednak celem ich całodziennych przechadzek. Lamowie wyszukiwali bogatych klientów, którzy przybyli do Urgi z dalekich „choszunów", a nawet z poza granic Hałhi po przepowiednie, wróżby i leki, słynne w tem mieście 60.000 lamów, posiadającem 30.000 posągów Buddhy. Prócz tego do stolicy „Żywego Boga" przybyli w owym czasie książęta chińskiej Mongolji Wewnętrznej, którzy natychmiast zostali otoczeni niewidzialną siecią szpiegostwa i dozoru ze strony obserwujących ich lamów.

Ponad domami w dzielnicy handlowej powiewały różnobarwne flagi: chińskie, rosyjskie, angielskie, mongolskie, trochę zaś na uboczu — gwiaździsta flaga Ameryki. Nad jurtami Mongołów, niby barwne motyle, trzepotały w powietrzu różnokolorowe proporczyki jaskrawe, trójkątnej lub kwadratowej formy, długie w kształcie wstęg, krótkie i okrągłe. Były to znaki książąt i rodzin prywatnych, lub chorągwie żałobne nad jurtami ciężko chorych, umierających, albo umarłych na ospę lub trąd...

Wszystko to razem wyglądało, jak pstra plama, ruchoma, oblana jaskrawem słońcem

wiosennem. Wszędzie — śmiech, krzyki, rżenie koni, ryk bydła, hałas, zgiełk.

Od czasu do czasu przechodzili żołnierze z azjatyckiej konnej dywizji barona Ungerna: Rosjanie — w długich chałatach szafirowych, Mongołowie — w czerwonych z żółtemi znakami Dżengiz-chana na ramieniu. Zjawili się też żołnierze chińscy, którzy po porażce generała Czen-Y przeszli na służbę do „Żywego Buddhy", przysięgając mu wierność.

Przecinaliśmy właśnie plac, gdy naraz z bocznej ulicy z hukiem syreny wytoczył się ogromny samochód.

Siedział w nim baron Ungern, w złocistym jedwabnym chałacie chana, opasanym niebieskim szalem, i w niebieskiej czapce oficera rosyjskiego z żółtą wypustką. Jechał szybko, ustawicznie rozglądając się w tłumie. Zauważył mnie i poznał odrazu. Samochód się zatrzymał, baron przywitał się ze mną i zaprosił do siebie.

Mieszkał w małej, bardzo skromnie urządzonej jurcie, która stała na podwórzu domu chińskiego. Obok wznosiły się jeszcze dwie jurty sztabu.

— Dowiedziałem się dzisiaj, że pan szybko i pomyślnie dojechał do Urgi — zagaił baron rozmowę.

Podziękowałem mu za pomoc w drodze i przypomniałem o obietnicy zorganizowania wyjazdu całej grupy polskiej dalej, na wschód.

Twarz barona spochmurniała; spuścił głowę i głosem smutnym zaczął mówić po francusku:

— Tutejsza moja praca zbliża się ku końcowi. Za dziewięć dni rozpoczynam wojnę z bolszewikami i mam zamiar wtargnąć w granice Syberji. Chcę bardzo serdecznie prosić pana o zamieszkanie u mnie w ciągu tych dziewięciu dni. Nie jest to zbyt długi termin dla pana. Mnie zaś wyświadczy pan tem ogromną przysługę i przyjemność. Od tylu lat już jestem pozbawiony towarzystwa kulturalnego. Niegdyś dla wypoczynku duszy jeździłem do hetmana Siemionowa, do jego sztabu, gdzie obmyślał on i urzeczywistniał swoje olbrzymie, wspaniałe plany. Obecnie Siemionow daleko, ja czuję się bardzo samotny pośród całej mojej dywizji. Chciałbym, żeby pan wiedział o mnie wszystko, poznał moje myśli, plany i zamiary, żeby mógł pan pomówić ze mną, nie jak z „krwawym i szalonym baronem", jak nazywają mnie wrogowie, i nie z „dziadkiem", jak ze strachem szepcą o mnie moi żołnierze, lecz jak z człowiekiem, który dużo myślał, a jeszcze więcej cierpiał...

Ungern chciał jeszcze coś dodać, lecz wpadł w nagłą zadumę. Nie chciałem mu przerywać,

zaciekawiony tym nieoczekiwanym wybuchem szczerości.

Po paru minutach baron ciągnął dalej:

— Wszystko już obmyśliłem i przyrzekam odstawić całą grupę pana do punktu, skąd wam łatwo będzie dotrzeć do celu, lecz niech mi pan przyrzeknie również, że będę mógł uważać go za swego gościa w ciągu tych dziewięciu dni! Niech dni te będą moim wypoczynkiem i zapomnieniem wszystkiego!...

Cóż mogłem na to odpowiedzieć? W głosie barona wyczuwałem, obok namiętnej prośby, odcień głęboko ukrytej wewnętrznej męki i jakiejś tajemnicy. Zresztą byłem przecież w jego rękach i bez pomocy tego człowieka nie mogłem ruszyć dalej, ani też wywieźć swoich towarzyszy niedoli...

Przyjąłem więc zaproszenie „krwawego barona".

Ungern mocno, z wdzięcznością uścisnął moją dłoń i kazał podać herbaty.

VIII.

POTOMEK KRZYŻAKÓW I PIRATÓW.

Niech pan mi opowie o sobie i o swoich przejściach! — poprosił mię baron.

Opowiedziałem mu wszystko, co mogło go interesować, i rzeczywiście był on bardzo przejęty moją odyseją.

— A teraz ja zacznę swoją spowiedź, żeby pan wiedział, z kim ma do czynienia — zaczął Ungern, bacznie wpatrując się we mnie swemi pałającemi oczyma. — Imię moje jest otoczone taką nienawiścią i strachem, że nikt nie wie naprawdę, kim jestem, gdyż historję splątano z mitem, rzeczywistość z fantazją, prawdę z oszczerstwem. Kiedyś w swoich pamiętnikach opisze pan może tę podróż przez Mongolję i pobyt u „szalonego Ungerna"...

Spuścił powieki i, paląc papierosa, zaczął rzucać urywane zdania, śpiesząc się, nie kończąc słów, jak gdyby w obawie, że ktoś mu może przeszkodzić.

— Ród Ungern von Sternbergów jest bardzo stary. Mieszanina Niemców z Węgrami, Hunnami z czasów Atylli. Moi wojowniczy przodkowie uczestniczyli we wszystkich wyprawach krzyżowych. Jeden z Ungernów zginął w Jerozolimie, walcząc pod sztandarami Ryszarda „Lwie Serce", a nawet tragiczna wyprawa krzyżowa dzieci miała w liczbie swych ofiar Ralfa Ungerna, jedenastoletniego krzyżaka. Gdy na kresy wschodnie imperjum niemieckiego posyłano najśmielszych i najokrutniejszych rycerzy, wśród nich był mój przodek, Artur baron Halsa-Ungern-Sternberg. Na wschodzie obszarów niemieckich rycerze ci założyli zakon Teutonów, ogniem i mieczem szerząc chrześcijańską naukę o miłości bliźniego wśród dzikich pogan: Litwinów, Estów i Słowian. Teutoński zakon rycerski zawsze miał pośród swoich „braci" przedstawicieli mego rodu. Pod Grunwaldem zginęło dwóch Ungern von Sternbergów. Ród mój, jak już wspomniałem, był wojowniczy i religijny, więc skłonny do mistycyzmu i ascetyzmu. W XVI i XVII wieku na ziemiach Estów i Łotyszów było kilku baronów Ungernów, po których pozostały stosy kronik z legendami i powieściami o ich życiu i czynach. Henryk Ungern, przezwany „Toporem", był „błędnym rycerzem". Turnieje Francji, Włoch, Hiszpanji i Brytanji znały to

imię, strachem przejmujące serca zapaśników. Henryk odznaczał się niezwykłą sztuką władania toporem bojowym. Został zabity w Kadyksie przez rycerza maurytańskiego, który rozwalił mu czaszkę wraz z hełmem uderzeniem topora. Ralf Ungern, baron na Sternbergu, miał swoją siedzibę około gościńca pomiędzy Rewlem a Rygą i pod groźbą śmierci zmuszał wszystkich podróżników do płacenia mu daniny. Baron Piotr Ungern był właścicielem zamku na wyspie Dagö na Bałtyku, gdzie wybudował sobie całą flotylę okrętów żaglowych, które stały się postrachem i klęską dla kupców.

— Od tego przodka, rozbójnika morskiego, rozpoczęła się cała dynastja Ungernów, piratów i marynarzy, do których należę i ja. Wreszcie legendy znają jeszcze jednego barona mego nazwiska, który żył na schyłku XVII wieku. Miał na imię Wilhelm, a przydomek „Brat Szatana". Przydomek ten przysługiwał mu z tego powodu, iż baron był alchemikiem i dawał w swoim domu przytułek wszystkim magom i czarownikom, prześladowanym w Europie za tajemne praktyki.

— Wspomniałem już, że Piotr Ungern dał początek morskiej dynastji Ungernów. Potomkiem Piotra — pirata w prostej linji był mój dziad, który dopłynął na własnym żaglowcu aż do oceanu Indyjskiego, gdzie zajmował się

rabunkiem i rozbijaniem angielskich okrętów handlowych. Do czasów bolszewickich w naszym pałacu przechowywały się wspaniałe, starożytne meble mahoniowe, zdobyte przez dziada na jednym z zatopionych przez niego okrętów. W ciągu kilku lat dziad mój operował bezkarnie na oceanie, lecz nareszcie Anglicy wzięli go do niewoli i oddali w ręce konsula rosyjskiego, który odesłał go do Petersburga. Tam go sądzono i zesłano na całe życie do Zabajkala. Taka jest moja łączność z Syberją Wschodnią. Z wykształcenia jestem marynarzem, gdyż ukończyłem szkołę kadetów morskich w Petersburgu, później zaś wstąpiłem do pułku kozaków zabajkalskich, w którym walczyłem najpierw z Japończykami, a później z Niemcami. W tej ostatniej wojnie zostałem odznaczony za waleczność oficerskim krzyżem Św. Jerzego. W czasie pokoju życie moje upływało na studjowaniu filozofji i buddyzmu. Dziad mój przywiózł z sobą z Indyj kajdany rosyjskie i indyjski buddyzm. Ojciec mój również był wyznawcą buddyzmu i mnie go przekazał. Posiadam pismo, ofiarowane memu dziadowi przez jednego świątobliwego indyjskiego mahatmę — yoga; dzięki temu pismu miałem wstęp tam, dokąd chyba tylko Dalaj-Lama lub Taszy-Lama bywają dopuszczani przez kapłanów pierwotnego kultu Sakkya-

Muni. W swoim czasie chciałem założyć zakon wojskowych buddystów do walki z rozpustą rewolucji...

Baron umilkł i pił filiżankę po filiżance czarnej, jak kawa, herbaty.

— Rozpusta rewolucji... Czy myślał pan kiedy o tem? Czy ktokolwiek wogóle zastanawiał się nad tą kwestją? Może jedynie tajemniczy Swedenborg, lub najmędrszy z mędrców Taszy-Lama w Tybecie!...

Przytaczając teorje naukowe, tytuły dzieł, nazwiska uczonych i pisarzy, oraz cytaty z biblji i z literatury buddyjskiej, ten potomek pirata i „Brata Szatana“ zaczął mówić natchnionym, podniesionym głosem, mieszając język rosyjski z niemieckim i wtrącając przytem co chwila wyrazy francuskie i angielskie:

— W buddyjskich starych księgach i apokryfach z czasów pierwszych chrześcijan znaleziono wskazówki i proroctwa, głoszące nadejście chwili, gdy powstaną przeciwko sobie duchy dobre i złe. Wówczas ma przyjść nieznany „Przeklęty“, aby ogarnąć całą ziemię i wytępić ludzkość, zabijając cywilizację i moralność. Genjusze i szaleńcy, te bliźnięta tragiczne, wyraźnie odczuwają zbliżanie się okresu katastrof w historji ludzkości i przyjście „Przeklętego“, z mieczem i żagwią rewolucji w dłoni. Miejsce dawnego, bogatego w doświadczenie

intelektu — twórcy zastępuje dzika wola burzyciela. Na pierwszy plan wysuwa się żądania instynktów niższych, co nadaje myśli charakter spekulacyjny we wszystkich jej przejawach, a więc w polityce, ekonomice, nauce i sztuce. Ludzkość odbiega daleko od duchowych zagadnień i dążeń. Historja ludzkości dowiodła, że powinniśmy zmienić kierunek naszej myśli i zastosować twórczość w dziedzinie kwestyj moralno-duchowych. Prądy te ujawniły się już przed wybuchem wojny światowej w 1914 roku. Lecz wówczas, jak zwykle w takich okresach, zjawił się Ten, o którym mówi apostoł Jan w Apokalipsie, Ten, który się zjawiał Chrystusowi na puszczy; Ten, z którym walczyli Buddha, Paspa, założyciel lamaizmu współczesnego, i pierwsi chrześcijanie; obecność którego ze zgrozą i trwogą odczuwali Dante, Michał Anioł, Leonardo da Vinci, Tasso, Goethe, Dostojewski. Ten „Przeklęty" jest już pośród rzeszy ludzkiej i cofa fale kultury i duchowego postępu od Boga ku sobie. W ten sposób „Przeklęty" rękami, zbroczonemi krwią rewolucji, wstrzymuje umysłowy i psychiczny bieg ludzkości do świetlanej mety — bóstwa. Sprawiedliwy i miłościwy „Wielki Nieznany", antyteza i wróg „Przeklętego" postawił przy progu naszego życia nie znającą gniewu i miłości Karmę. Czyni ona zimny porachunek naszych

dzieł, odmierza i waży. Karma podsumowuje wszystko, co „Przeklęty“ zasiał wśród ludzkości, a więc: głód, choroby, ruinę, śmierć cywilizacji, sławy, honoru, ducha, śmierć państw i ludów... Widzę, widzę już tę grozę, tę ponurą, szaloną zagładę świata i ludzi...

Drzwi jurty nagle się rozwarły i w progu ukazał się sztywnie wyprostowany adjutant barona.

— Czego chcesz? — gniewnie krzyknął Ungern.

— Ekscelencjo! Nasz wysunięty na północ patrol schwytał sześciu wywiadowców bolszewickich w pobliżu granicy i przyprowadził ich do sztabu...

Baron zerwał się z posłania. Oczy jego miotały pioruny, a twarz drgała konwulsyjnie.

— Postawić jeńców przed moją jurtą! — rozkazał cichym, syczącym głosem. — Idź...

W tej chwili baron nie pamiętał o niczem: uduchowiona, natchniona mowa, przenikający do serca głos — wszystko utonęło w bezmiernym gniewie, który, jak wicher, szalał w jego sercu.

Ungern nacisnął czapkę na głowę, schwycił swój nieodstępny „taszur“ i wypadł z jurty. Wyszedłem za nim. Przed jurtą stali jeńcy, otoczeni przez uzbrojonych kozaków, zziajanych daleką i szybką jazdą.

Baron zatrzymał się przed czerwonymi żołnierzami i przez kilka minut wpatrywał się w ich oczy, nie odrywając od nich wzroku. Na jego twarzy znać było ogromny wysiłek myśli i woli. Wreszcie odszedł, usiadł na progu jurty, zdjął czapkę i, utkwiwszy oczy w ziemi, jął mocno trzeć czoło. Nagle powstał i stanowczym krokiem zbliżył się do jeńców.

— Stań więcej na lewo — a ty na prawo... — rozkazywał baron jeńcom, zlekka uderzając każdego taszurem w prawe ramię.

Dwóch przeszło na lewo, czterech na prawo.

— Zrewidować ubranie tych dwóch! — zakomenderował. — To są komisarze sowieccy! Zwracając się zaś do czterech wylęknionych jeńców, stojących na prawo, rzekł do nich:

— A wy jesteście chłopami, zmobilizowanymi przez bolszewików.

— Wedle rozkazu, ekscelencjo! — wrzasnęli jeńcy zupełnie nie podług dyscypliny bolszewickiej. — My nie ze swojej woli...

— Idźcie do komendanta i powiedzcie mu, że przyjmuję was do oddziału tybetańskiego — rzekł spokojnie baron.

Ucieszeni „bolszewicy“ natychmiast opuścili podwórze strasznego generała. Tymczasem u dwóch pozostałych znaleziono w podszewce cholew paszport politycznych komisarzy sowieckich.

Baron nachmurzył czoło i, powoli wymawiając każde słowo, rzucił w przestrzeń rozkaz:

— Zatłuc ich kijami!

Poczem wszedł do jurty i usiadł, lecz po tem zajściu rozmowa już się nie wiązała. Pożegnałem wkrótce generała i wyszedłem. Gdyśmy po obiedzie u moich gościnnych gospodarzy, na którym było kilku ungernowskich oficerów, rozmawiali wesoło, jeden z obecnych trwożnie podniósł głowę i szepnął ze strachem:

— Gdzieś w pobliżu przejechał w tej chwili baron....

Wszyscy umilkli, lecz po chwili rozmowa potoczyła się dalej. Nagle tuż pod oknem ryknął samochód, poczem do pokoju wbiegł wystraszony służący z okrzykiem:

— Baron!...

Ledwie zdążyło przebrzmieć to słowo, Ungern stał już na progu.

Bardzo uprzejmie powitał wszystkich i, zwracając się do gospodarzy, prosił o pozwolenie zabrania mnie do siebie w nagłej sprawie. Dostrzegłem przerażenie na twarzach niektórych moich nowych znajomych, lecz ja osobiście byłem spokojny, gdyż rozumiałem już duszę „krwawego generała."

Zacząłem się ubierać i z przyzwyczajenia włożyłem do kieszeni mego palta rewolwer.

— Niech pan zostawi tę zabawkę! — z uśmiechem zawołał baron. — Tu panu już nic nie zagraża. Zresztą hutuhtu z Narabanczi przepowiedział panu, że „szczęście zawsze z nim będzie!"

— A tak! — zaśmiałem się — lecz hutuhtu nie powiedział, co on uważa dla mnie za szczęście? Może śmierć — najlepszy odpoczynek po mojej włóczędze? Muszę się jednak przyznać, że wolę jeszcze podróżować, byle żyć!

Wsiedliśmy do samochodu, którym kierował wyprostowany i sztywny, jak posąg, oficer bez czapki.

— W stronę radjostacji — rozkazał baron.

Pomknęliśmy.

W Urdze, jak w dzień, tak i wieczorem, tętniło życie.

Tylko w nocy było ono dziwniejsze i bardziej tajemnicze. Pośród hałaśliwego tłumu przejeżdżali jeźdźcy różnych szczepów mongolskich, odróżniających się tylko formą kulbak i sposobem trzymania się na siodle. Kroczyła poważnie karawana naładowanych wielbłądów; ciągnęły ciężkie wozy — „arby" o dwóch kołach, skleconych z sześciu kawałów grubo ciosanego drzewa, nabitego olbrzymiemi gwoździami; a wszystko to było zalane fioletowem światłem dużych latarń elektrycznych.

Po opanowaniu Urgi, baron natychmiast rozkazał naprawić zepsutą oddawna stację elektryczną, oczyścić ulice miasta, które zapewne od czasów Dżengiz-chana nie znały miotły i dezynfekcji, i zainstalować sieć telefoniczną.

Powstały różne warsztaty i fabryczki, zaczęły funkcjonować szkoły, szpitale, ambulatorja, punkty weterynaryjne, ruch autobusowy; naprawiono drogi, domy i mosty. Baron opiekował się handlem i przemysłem i nielitościwie wieszał rosyjskich i mongolskich żołnierzy za okradanie sklepów chińskich, a kupców za niesumienność.

Stolica „Żywego Buddhy“, spadkobiercy tronu wielkiego Dżengiza, zalana elektrycznością!

Doprawdy, był to nie mniejszy cud, niż wszelkie praktyki czarowników mongolskich!

Gdyśmy wjeżdżali do dzielnicy rosyjskiej, na moście, przerzuconym przez mały potok, stało kilku żołnierzy, „flirtujących“ z Mongołkami. Żołnierze skamienieli w postawie wojskowej przed generałem, dwie kobiety uciekły pod most, a reszta tubylczych piękności w przerażeniu pozostała na miejscu. Po chwili wszystkie podniosły dłonie do swoich uczesań fantastycznych, salutując po wojskowemu.

Generał uśmiechnął się i rzekł do mnie:

— Czy pan widzi, jaka u mnie panuje dyscyplina? Nawet baby salutują!

Za miastem samochód pomknął jeszcze szybciej. Zimny wiatr zrywał czapki i rozrzucał poły palt. Baron, przymknąwszy oczy, widocznie rozkoszując się szybką jazdą, szeptał chwilami:

— Prędzej!... Prędzej!...

Szofer przyśpieszał biegu, aż powietrze świstało w uszach. Milczeliśmy. Nagle baron się odezwał:

— A ja wczoraj obiłem adjutanta za to, że nie pozwolił mi dokończyć opowiadania...

— Przecież generał może to uczynić obecnie! — odparłem.

— Czyż panu to jeszcze nie zbrzydło? — — zapytał, a w jego głosie odczułem radość. — No dobrze! Teraz nastąpi część najciekawsza. ..

Ungern siedział wyprostowany, jak świeca, nie dotykając poduszek samochodu i, paląc papierosa za papierosem, rozpoczął:

— Miałem zamiar założyć w Rosji zakon wojskowy buddystów. Poco? Dla obrony moralnej ewolucji ludzkości od zgubnych wpływów rewolucji, gdyż jestem tego zdania, że postęp ewolucyjny prowadzi do ideału, t. j. bóstwa, rewolucja zaś po gwałtownym skoku naprzód wstrzymuje rozwój i prowadzi wstecz do zezwierzęcenia. Lecz działałem w Rosji, w tym przeklętym kraju, gdzie niema dyscypliny w narodzie, gdzie chłop chodzi do cerkwi

chrześcijańskiej, wierzy zaś w wiedźmy i czary, gdzie klasa inteligentna dba tylko o własne zadowolenie i dobrobyt. Lud brutalny, dziki, niepiśmienny, powiedziałbym, nie lud lecz specjalny zoologiczny rodzaj ssących; romantyczny i anarchiczny inteligent rosyjski wmawiał w siebie i w innych, że naród jest męczennikiem, krzewicielem idei bóstwa, wszechświatowej tęsknoty ku dobru, twierdził tak, nie znając swego narodu i nie kochając go wcale.

— Wobec takich właściwości charakteru moi towarzysze zaczęli się wyłamywać z pod praw mego „zakonu". Wtedy wprowadziłem celibat, wyrzeczenie się wygód życiowych i zbytków podług ustawy klasztorów lamaickich. Żeby zaś dać ujście energji, pozwoliłem na nieograniczone używanie wódki, opjum, haszyszu... Teraz za picie wódki — wieszam, wówczas zaś upijaliśmy się do obłędu. Oczywiście, zakonu nie stworzyłem, lecz wychowałem dwie setki dzielnych, bezwzględnie odważnych oficerów, którzy położyli wielkie zasługi w wojnie z Niemcami i bolszewikami. Wszystkich, którzy pozostali przy życiu, zużytkował później hetman Siemionow, lecz, niestety, jest już ich bardzo niewielu... Wojna — zła macocha!...

— Radjo, ekscelencjo! — oznajmił szofer.

— Zatrzymaj się! — rozkazał generał.

Obejrzeliśmy dużą stację telegrafu iskrowego, dobrze urządzoną przez Amerykanów dla rządu chińskiego. Przeczytaliśmy kilka przejętych telegramów pomiędzy Moskwą, Władywostokiem i Pekinem. Pokazano nam jakąś depeszę ze szczytu wieży Eiffel w Paryżu. Baron kazał natychmiast posłać kilka telegramów do sztabu, dla umieszczenia ich w wychodzącej od czasu do czasu jednodniówce, wydawanej w drukarni, należącej do konsulatu rosyjskiego.

Gdy skończyliśmy czytanie depesz i oglądanie stacji, baron zaprosił mnie do samochodu i, zapalając papierosa, zawołał z radosnym uśmiechem:

— Teraz... w przestworze!

Szofer ruszył pędem wiatru, i wkrótce utonęliśmy w mroku nocy, w przestrzeni bezgranicznych stepów, poprzecinanych niewysokiemi, pochyłemi wzgórzami.

Nie mogłem zrozumieć, w jaki sposób nie rozbiliśmy się, nie uległiśmy najokropniejszej katastrofie! Samochód skakał, jak piłka, po kamieniach i rowach, przebiegał przez małe potoki, z niepojętą zwinnością lawirował pośród nagromadzonych gdzie niegdzie odłamów skał. Szofer, tak umiejętnie kierujący olbrzymią maszyną, musiał chyba mieć oczy żbika.

W mroku nocy zauważyłem małe ogniki rudawe, które co chwila zapalały się lub gasły...

— To wilki! — uśmiechając się, rzekł Ungern. — Nakarmiliśmy je dosyta swojem i nieprzyjacielskiem mięsem. — Ale pozwoli pan, że będę dalej opowiadał o swoich przejściach.

Zwrócił się do mnie i, swoim zwyczajem wpatrując mi się w oczy, zaczął:

— Podczas wojny niemieckiej zaprzyjaźniłem się z Grzegorzem Siemionowem. Obaj odnieśliśmy kilka ran i otrzymaliśmy krzyże walecznych. Na froncie widzieliśmy stopniowy rozkład armji, spodlenie duszy rosyjskiego chłopa i mieszczanina, przewidywaliśmy zdradę Rosji względem sojuszników i rozumieliśmy całą głębię niebezpieczeństwa, zagrażającego ludzkości ze strony rewolucji dziczy rosyjskiej. Wówczas towarzysz mój, zwykły esauł kozacki, a obecnie hetman wszystkich kozaków syberyjskich, Siemionow, ułożył olbrzymi, porywający plan. My się z nim rozumiemy! Siemionow to napół Mongoł, ja — buddysta. Siemionow postanowił połączyć wszystkie szczepy mongolskie, związane pomiędzy sobą krwią plemienną lub jednakowym kultem religijnym, w jedno państwo azjatyckie, składające się z autonomicznych części pod moralnem kierownictwem Chin, kraju najstarszej i najwznioślejszej kultury duchowej. Państwo to powinnoby być silne moralnie i fizycznie; musiałoby się zabezpieczyć od wpływów rewolucji wyso-

kim murem surowych i mądrych praw, oraz bronić swojej duchowej podwaliny: kultu, wiary, filozofji i polityki. Jeżeli zdemoralizowana i szalona ludzkość nie zatrzyma się w swym biegu ku przepaści i wyda na zagładę cały dobytek ducha ludzkiego, państwo azjatyckie będzie zmuszone położyć temu kres i zabezpieczyć ludzkości długotrwały pokój. Tak myślał hetman Siemionow i, będąc jeszcze na froncie niemieckim, rozpoczął agitację pośród Burjatów i Turkmenów. Słowo hetmana padło na urodzajną glebę! Zresztą nie mogło być inaczej! Wszyscy Azjaci, z wyjątkiem Japończyków, rozumieją, że spekulacyjna kultura Zachodu prowadzi ludzkość do zguby, zatruwając ją bakcylami rewolucji. Plan zjednoczenia Mongołów był bliski urzeczywistnienia w 1918 roku, kiedy Rosja haniebnie zdradziła Francję, Amerykę i Anglję. Wtedy Siemionow oznajmił, że nie może pozostawać w szeregach zdrajców, protestował przeciwko traktatowi, zawartemu w Brześciu Litewskim, i wyjechał do Zabajkala w celu werbunku ochotników dla naszej wojny z Niemcami. Z nim razem pojechałem też i ja, oraz kilku innych oficerów. Postanowiliśmy zmobilizować Azję do wojny z Niemcami, posłaliśmy emisarjuszy do Mongolji, Tybetu, Turkiestanu i Chin. Sprawy szły dobrze. Ale wtedy właśnie bolszewicy

zaczęli wytępiać oficerów i byliśmy zmuszeni rozpocząć walkę obronną, która przeszła w zaciętą wojnę domową. Na ogólną organizację azjatycką nie pozostawało już czasu! Uformowaliśmy własną armję, nie przestając marzyć o dniu, kiedy obudzimy całą Azję mongolską i z jej pomocą utrwalimy pokój i tron Boga na zalanej krwią ziemi. Ze swej strony dopomogłem temu przebudzeniu się Azji, dając niepodległość prastaremu krajowi władcy Azji, sławnego i mądrego Dżengiza... A mimo to hetman Siemionow obawia się mnie, mojej surowości i okrucieństwa... Nie może jeszcze zrozumieć, że prowadzimy walkę nie z partją polityczną, lecz z „sektą" spiskowców wrogich całej duchowej kulturze ludzkości, oraz idei bóstwa. Proszę mi wytłumaczyć, dlaczego Włosi skazują na śmierć członków mafji „czarnej ręki", dlaczego Amerykanie sadzają na fotelu elektrycznym anarchistów-bombistów, i dlaczego ja nie mam tępić bolszewików — morderców duszy i ciała społeczeństwa? Siemionow — pół-Rosjanin, pół-Mongoł — człowiek wrażliwy i miękki, ja zaś jestem Teutonem, potomkiem „Brata Szatana" i piratów. Dla sekty morderców — tylko śmierć!... Wracamy do Urgi!...

Po dwóch godzinach zamajaczyły przed nami dalekie jeszcze ognie miasta.

IX.

OBÓZ MĘCZENNIKÓW.

Niedaleko od wjazdu do Urgi, koło jednopiętrowego domku stał samochód.

— Co to ma znaczyć? — zapytał baron szofera.

Szofer nie umiał mu wytłumaczyć.

— Podjeżdżaj do tego domu! — rozkazał baron.

Zatrzymaliśmy się przed gankiem. W tej chwili drzwi z łoskotem się rozwarły, z domu wybiegło kilku oficerów, którzy w popłochu rzucili się do ucieczki.

— Stój! — dźwięcznym, wysokim tenorem krzyknął Ungern.

Wszyscy stanęli, jak wryci.

— Wróćcie! — rozkazał tonem, jakim się mówi do psów, nie do ludzi.

Gdy powrócili z głowami pochylonemi, baron wszedł za nimi, opierając się na ciężkim taszurze. Drzwi pozostały otwarte, mogłem więc słyszeć i widzieć wszystko, co zaszło w oświetlonym pokoju.

— Oj, będzie bieda! — wyszeptał z trwogą oficer-szofer. — Nasi oficerowie, dowiedziawszy się pewno, że baron pojechał na miasto na daleki spacer, postanowili urządzić ucztę. Teraz baron każe ich rozstrzelać albo zatłuc kijami... Bieda!

Widziałem przez drzwi koniec długiego stołu, zastawionego butelkami i blaszankami po konserwach. Na rogu siedziała młoda kobieta, która na widok barona w przerażeniu zerwała się z miejsca.

Z pokoju dochodził chrapliwy głos Ungerna. Padały ciężkie, urywane zdania:

— Wasza ojczyzna ginie. Hańba okrywa was, Rosjan, a wy tego nie możecie zrozumieć... odczuć... Potrzebujecie wina... kobiet... kart... Szubrawcy... zwierzęta!... Po 150 taszurów każdemu... po 150!...

Głos mówiącego zniżył się do złowrogiego szeptu.

— A wy, kobiety, czyż nie pojmujecie zguby waszego narodu? Nie czujecie bólu ludu? Dla was jest to obojętne! Zlitowałybyście się chociaż nad swymi mężami! Oni tam na froncie i w boju, może zginą... Wy zaś tutaj pijecie wino..., oddajecie się rozpuście, osłabiacie ducha moich oficerów!... Wyście nie kobiety! Szanuję kobietę, która czuje głębiej od mężczyzny... Wy zaś nie jesteście kobietami! Słuchajcie, co powiem. Jeżeli która z was

jeszcze raz zostanie przeze mnie przyłapana, każę powiesić!

Zawrócił się i wyszedł. Sam dał trwożny sygnał samochodu i rozkazał patrolowi, który zjawił się natychmiast, zaprowadzić aresztowanych do komendanta.

W ciągu dalszej drogi Ungern milczał, oddychając ciężko i coś szepcząc. Wreszcie odezwał się:

— Krzyczą, piszą, że jestem okrutny... Szalony baron! Ja zaś nie mogę zrzucić z siebie zmory zdrady armji, do której należałem; nie jem, nie śpię, gdyż mam ciągle przed sobą straszne obrazy śmierci najszlachetniejszych ludzi... Śmierć z rąk najgorszych, najciemniejszych, najwystępniejszych zbrodniarzy! A ci... nie mogą bez wódki! A kobiety... te kobiety bez serca, bez szlachetności... bez duszy! „Krwawy" generał!... Z takimi tylko można walczyć surowością! Rosjanie nie powinni lubić — oni muszą się bać... To są zwierzęta... Zwierzęta!...

Baron zapalał papieros za papierosem i rzucał je ruchem gwałtownym.

— Niech pan zje ze mną kolację! — zaproponował po chwili.

Na kolację był również zaproszony naczelnik sztabu, młody, skromny, bardzo dobrze wychowany prawnik, syn znanego w Rosji pro-

fesora Iwanowskiego. Podano jakąś gorącą potrawę chińską, po niej zaś zimne mięso, kompot z kalifornijskich owoców i herbatę. Jedliśmy zwyczajem chińskim laseczkami z kości.

Baron był podrażniony i smutny. Bardzo ostrożnie nawiązałem rozmowę o aresztowanych oficerach, starając się znaleźć dla nich usprawiedliwienie w surowym trybie życia dywizji i w potrzebie rozrywki.

— To są jednostki zgniłe, pogrążone w rozpuście!... — mówił gniewnie generał.

Naczelnik sztabu podtrzymał mnie, i wreszcie Ungern zmiękł i kazał aresztowanych uwolnić.

Nazajutrz spędziłem dzień ze swymi towarzyszami i zapoznałem się bliżej z życiem miasta. Gwałtowna, energiczna natura barona zmuszała wszystkich do pracy. Sam był wszędzie i wglądał w każdy szczegół, nigdy jednak nie wtrącając się do zarządzeń kierowników. Wszystko było przewidziane. Nabijano pociski armatnie i karabinowe, remontowano artylerję i inną broń, rozpoczynano fabrykację prochu i gazów trujących, robiono saletrę i terpentynę, którą miano zastąpić benzynę przy samochodach; baron marzył o samochodach i tankach... Wszystko co żyło, pracowało. Domy handlowe były zajęte dostarczaniem żywności i materjałów, potrzebnych dla armji. Nawiązywano stosunki handlowe z Chinami.

Wieczorem zostałem zaproszony do naczelnika sztabu Ungerna. W jurcie jego spotkałem kilku oficerów. Gospodarz częstował nas herbatą z konfiturami, oraz ciastkami chińskiemi. O godzinie 11-tej wszedł do jurty, coś nucąc, pułkownik Sipajłow. Wszyscy odrazu umilkli i pod różnemi pozorami zaczęli się wymykać.

— Nie lubią Sipajłowa! — mruknął pułkownik, filuternie mrużąc swoje bezbarwne oczy i bryzgając śliną.

W chwili, gdy Sipajłow wszczął rozmowę z naczelnikiem sztabu, do jurty wszedł baron, który, spostrzegłszy pułkownika, nachmurzył czoło i z obrzydzeniem w głosie rzekł do mnie:

— Niech pan nie rozmawia z tą gadziną!

Sipajłow zbladł i wcisnął swoją potworną głowę w plecy.

Baron, oddawszy jakieś rozkazy, opuścił jurtę, i po chwili słyszeliśmy, jak zajechał samochód.

— Oj — jęknął Sipajłow — wiem, że przyjdzie dzień, kiedy baron każe mnie zatłuc kijami!

Lecz w głosie jego poczułem udany strach. Wychodząc, pułkownik zawołał wesoło:

— Pijecie tylko herbatę? Każę przysłać panom na kolację przepyszny pieróg z rybą i doskonałej zupy.

Gdy wyszedł, naczelnik sztabu porwał się za głowę i wyszeptał z rozpaczą:

— Boże mój, Boże! Do jakiego upodlenia doprowadziła nas rewolucja. Zmuszeni jesteśmy obcować z takiemi typami! Ze zbrodniarzami i złodziejami... Sipajłow jest złym duchem barona. Podsuwa mu do podpisu coraz to nowe wyroki śmierci, zabija ludzi niewinnych bez sądu i bez wiedzy generała, rabuje pod pozorem nieistniejących rozkazów barona...

W parę minut przyszedł od Sipajłowa żołnierz i przyniósł obiecaną kolację. Gdy się nachylił, rozwiązując serwetę, naczelnik sztabu, wskazując go oczami, szepnął:

— Niech się pan uważnie przyjrzy temu człowiekowi!

Żołnierz był małego wzrostu, o szerokich, silnych barach, ubrany bardzo starannie. Jego gładko wygolona twarz była bardzo uprzejma, spokojna, pełna szacunku „dla naczalstwa“, lecz w szarych przymrużonych oczach i w załamaniu ust było coś odpychającego i strasznego.

Gdy wyszedł z jurty, naczelnik sztabu opowiedział mi, że żołnierz ten, nazwiskiem Czystiakow, jest prawą ręką Sipajłowa i jego przybocznym katem. Ten grzeczny, uprzejmy młodzieniec własnemi rękami dusił ludzi, nie robiąc sobie kłopotu z wieszaniem.

Mówiąc to, naczelnik powstał i, nim zrozumiałem, co czyni, wylał za drzwi zupę z miski i rzucił pieróg w daleki kąt dziedzińca.

— Co pan robi? — zawołałem, myśląc, że mój znajomy dostał nagłego obłędu.

— To poczęstunek Sipajłowa — odparł — a więc niewiadomo, czy nie ma w sobie trucizny... W domu pułkownika obcy nie powinien nic jeść ani pić, gdyż nigdy niewiadomo, co go może spotkać...

W ciężkim nastroju powróciłem do domu i tu dowiedziałem się, że Sipajłow kazał zaaresztować moje rzeczy i odstawić do komendantury, aby je poddać rewizji.

Zaniepokoiłem się bardzo, gdyż Sipajłow mógł podłożyć mi jakieś papiery, które oddałyby mię w ręce kata Czystiakowa, lecz od gospodarza dowiedziałem się, że moje rzeczy były przyniesione do Sipajłowa w chwili, gdy był u niego baron. Na widok tego, co się dzieje, Ungern straszliwie wybuchnął, uderzył Sipajłowa taszurem i kazał natychmiast odstawić rzeczy zpowrotem.

Narazie więc wszystko zakończyło się pomyślnie, lecz wiedziałem, że w osobie potwornego szaleńca, Sipajłowa, mam wroga śmiertelnego.

Jaka była przyczyna tej nienawiści?

Sipajłow obawiał się mego wpływu na barona, widząc, że Ungern czuje do mnie wielkie zaufanie i stara się być ciągle w mojem towarzystwie. Sipajłow podejrzewał, że będę usiłował źle usposobić Ungerna przeciwko niemu, co groziłoby mu niechybną śmiercią, której bał się panicznie.

Trzeba więc było śpieszyć się z odjazdem, gdyż pomysłowy żandarm mógł zaplątać mnie w swoje sidła, a wówczas żadna siła ludzka w warunkach życia urgińskiego nie ocaliłaby mnie od śmierci.

Już chciałem się położyć do łóżka, gdy przybiegł po mnie młodszy adjutant Ungerna. Wypadało iść.

Zastałem barona, czytającego jakąś książkę francuską. Cisnął ją i, podniósłszy się na moje powitanie, powiedział:

— Przepraszam, że wciąż pana niepokoję, lecz chcę mówić! Muszę przecież komuś się wyspowiadać, kto potrafi zrozumieć wszystko — i złe, i dobre...

Instynkt pisarski poddał mi pytanie:

— Czy mogę napisać kiedyś książkę o tem, co tu słyszę i widzę?

Ungern zamyślił się przez chwilę, a później rzekł:

— Niech mi pan da swój notatnik.

Podałem mu album, w którym robiłem szkice podróżne, a on napisał po rosyjsku:

— „Po mojej śmierci — Baron Ungern“.

— Jestem starszy od generała, więc umrę z pewnością wcześniej — zauważyłem.

Baron potrząsnął głową.

— O nie! — rzekł. — Jeszcze 130 dni i — koniec!... Nirwana!... O, żeby pan wiedział, jak bardzo jestem znużony cierpieniami moralnemi i trawiącą mnie nienawiścią!

Po długiem milczeniu baron, paląc papierosy i popijając czarną herbatę, rozpoczął przerwane onegdaj opowiadanie. Dowiedziałem się, że, wykonywując plan hetmana Siemionowa, Ungern nawiązał stosunki ze wszystkiemi plemionami mongolskiemi i z buddystami Azji, miał pisma od tajnej rady machatmów indyjskich, od Dalaj-Lamy, od Taszy-Lamy, od chanów kirgiskich i kałmuckich, od władców Afganistanu, od chińskich monarchistów i dostojników lamaickich. Dowodził, że cała mongolska i buddyjska Azja marzy o zjednoczeniu się w olbrzymie środkowo-azjatyckie państwo z mądremi, monarchicznemi Chinami na czele.

Wkrótce przerwał swoją opowieść i kazał dać samochód, chociaż była to już późna godzina nocna.

— Pojedziemy do świątyni wielkiego, miłościwego Buddhy! — zawołał, porwany jakąś myślą, patrząc na mnie pałającemi oczyma.

Było to zakończenie obrazu życia tego ogromnego obozu jakichś męczenników tragicznych — pół-bandytów, pół-rycerzy, pół-mnichów, tego zgromadzenia wygnańców i mścicieli, pędzonych wypadkami dziejowemi w objęcia śmierci i smaganych surowością nienawidzącego ich i poniewierającego nimi mistyka, potomka piratów i Teutonów. On zaś, żyjąc w ustawicznej udręce, nie znał godziny spokoju. Dręczony ciężkiemi, jadowitemi myślami, przeżywał męki Tantala, wierząc, że każdy nowy dzień odcina jedno ogniwo od łańcucha życia, złożonego ze 130 dni, które oddzielały go od nieznanej, bezdennej otchłani — śmierci.

X.

PRZED OBLICZEM BUDDHY.

W milczeniu przemknął samochód przez handlową część miasta i zbliżył się do stromych zboczy płaskowyża, na którem stał klasztor. Baron zatrzymał samochód. Szliśmy dalej piechotą, coraz bardziej zapuszczając się w labirynt wąskich uliczek pomiędzy domami lamów i zabudowaniami klasztornemi. Stanęliśmy wreszcie przed największą świątynią Urgi, Mongolji, a nawet całego świata lamaickiego. Był to budynek architektury tybetańskiej, lecz z chińskim, misternie wykrzywionym dachem. Samotna latarnia paliła się przy wejściu. Ciężkie drzwi, okute żelazem i bronzem, były zamknięte na ogromną kłódkę.

Baron trzykrotnie uderzył w gong młotkiem, wiszącym na ścianie. Po paru minutach zbiegło się kilku przestraszonych mnichów. Niektórzy mieli w rękach papierowe latarnie. Poznawszy „dziań-dziunia", padli na twarz i nie śmieli podnieść na niego oczu.

— Wstańcie i prowadźcie nas do świątyni! — rozkazał baron.

Weszliśmy do świątyni. Wygląd jej niczem się nie różnił od innych większych świątyń lamaickich. Te same rytualne chorągwie różnobarwne z mongolskiemi i tybetańskiemi modlitwami, z symbolicznemi znakami i wizerunkami świętych i bogów; długie pasy tkanin jedwabnych, zwieszających się z pułapu, święte obrazy różnych bóstw.

Od wejścia do jedynego stopnia ołtarza leżał wąski, długi kobierzec; po obydwu jego stronach stały niskie kanapy, obite czerwonem suknem; były to miejsca dla lamów i chóru podczas nabożeństwa. Na ołtarzu paliły się lampki, rzucające migotliwe błyski na sprzęty rytualne i na lichtarze ze złota i srebra. Za ołtarzem wisiała olbrzymia, żółta kotara jedwabna ze znakiem Dżengiza — swastyką i modlitwą tybetańską: „Om, mani padme Hung!"

Lamowie odsłonili kotarę.

W niepewnem świetle lampek olejnych i papierowych latarek lamów wynurzyła się z ciemności potwornych rozmiarów postać Buddhy, mająca około 80 stóp wysokości, cała suto złocona, odlana w Chinach z najlepszego bronzu. Buddha spoczywał w złotym lotosie. Oblicze boga-mędrca było obojętne i spokojne; ożywiała

je gra cieni i świateł. Zdawało się, że Buddha patrzy na ludzi uważnie i zimno, a pełne, kształtne jego usta chwilami układały się w łagodny, lecz szyderczy uśmiech. Wszędzie, wzdłuż ścian, w szafach i na półkach, stały duże i małe figury Buddhy. Mówiono mi, że jest ich tam do trzydziestu tysięcy. Są to ofiary wiernych.

Baron zadzwonił w wiszący gong, który służył do zwracania uwagi boga na modlącego się, i wrzucił do wielkiej urny bronzowej monetę złotą. Człowiek, który przewertował dzieła wszystkich zachodnich filozofów, który znał europejską literaturę i naukę XIX i XX stulecia, modlił się przed posągiem Buddhy z bronzu. Złożył wyciągnięte przed siebie ręce i, zamknąwszy oczy, szeptał słowa modlitwy. Dojrzałem, że miał na lewej ręce różaniec buddyjski. Modlitwa trwała około 10 minut, poczem, zwróciwszy twarz do lamów, Ungern rzekł:

— Zawołajcie starca!

Jeden z lamów, schylony w niskim ukłonie, natychmiast odszedł i wkrótce powrócił, prowadząc pod ramię mnicha w brudnym, żółtym płaszczu gelonga. Głowa i ręce starca drżały; z trudem poruszał nogami, lecz widocznie już wiedział, czego będzie od niego żądał straszny „dziań-dziuń", gdyż miał w torbie starą księgę w drewnianej okładce.

Był to maramba Wagaden — hutuhtu, uczony lamaita, znawca ksiąg indyjskich i tybetańskich.

— Czytaj! — rozkazał baron.

— Mówił do ludu Taszy-Lama: — zaczął starzec cichym, urywanym głosem — nie bójcie się i nie szlochajcie, bo przyjdzie z północy wysoki, biały człowiek o oczach, niby kawały połyskującego lodu w głębokiej jaskini. Przejdzie on po ziemi, jak płomień i śmierć... Każdy krok jego wyciśnie krwawy ślad. Będzie to bóg wojny, zjawiający się powtórnie. Da on wolność braciom, powiedzie wszystkie narody, plemiona i szczepy Dżengiz-Chana ku sławie, szczęściu i pokojowi...

Starzec umilkł, lecz Ungern ruchem gwałtownym przewrócił kilka kart i szepnął dobitnie:

— Czytaj! Teraz to będzie przepowiednia dla mnie.

Obojętnym głosem maramba odczytał:

— Nastąpi czarny dzień. Dzień zguby wybawiciela narodów. Otoczą go setki wrogów. Czeka go samotność. Będzie go żarła troska, że niema nikogo, komu mógłby przekazać myśli swoje i swoją tęsknotę. Nastąpią długie godziny okrutnych mąk. Lecz nie osłabią ducha aż do ostatniego tchu. Otworzą się podwoje Nirwany, i wstąpi do niej dusza oczyszczona przez mękę i tęsknotę.

Baron spuścił głowę i szepnął do mnie:

— Tak zawsze wypada ze wszystkich przepowiedni! Takim będzie mój koniec...

Opuściliśmy świątynię i poszliśmy na drugi koniec klasztoru.

— Nie lubię tej świątyni! Jest to Ariabolo, zupełnie nowa, gdyż lamowie wybudowali ją wtedy, gdy „Żywy Bóg“ stał się niewidomy, składając w ten sposób Buddzie ofiarę błagalną. Nie lubię świątyni „grodu lamów“, ponieważ na obliczu złotego Buddhy nie widzę śladów łez, nadziei, troski, rozpaczy, bólu, szczęścia i wdzięczności modlących się. Ludzie jeszcze nie zdołali wyryć tych śladów w złotym bronzie Buddhy... Pójdziemy teraz do starej kaplicy przepowiedni i wróżb!...

Zobaczyłem mały, sczerniały budynek, podobny do wieży z okrągłym dachem. Drzwi stały otworem. Z obydwóch stron wejścia stały koła ruchome z wypisanemi na nich tekstami religijnemi — najprostszy sposób modłów. Nad drzwiami widniała tablica mosiężna ze znakami Zodjaka. Przy wejściu, oraz wewnątrz kaplicy paliły się duże chińskie latarnie papierowe. Dwóch mnichów monotonnemi głosami czytało jakieś księgi. Gdyśmy weszli, nie podnieśli nawet głów.

Baron, zbliżywszy się do nich, rzekł:

— Rzućcie kości na liczbę dni mego życia!

Mnisi, nie przerywając czytania i nie patrząc na stojącego przed nimi, wyrzucili na czarny stół z metalowych rzeźbionych kubków białe kości.

Baron długo liczył, wreszcie westchnął głęboko i wyszeptał:

— 130!... Znowu 130... To już po raz piąty!...

Zapadł w głęboką zadumę; podszedł do ołtarza, gdzie stała stara kamienna figura Buddhy, przywieziona niegdyś z Indyj, i modlił się, zatopiony w nieznanych nikomu myślach, pełnych troski, a strasznych zarazem.

Do świtu błąkaliśmy się z Ungernem po klasztorze. Zwiedziliśmy wszystkie świątynie, kaplice, muzeum szkoły medycznej, wieżę astrologów, miejsca różnych modłów, a gdy słońce pokazało się na szczytach gór wyszliśmy na plac otoczony domami młodych lamów i kleryków-bandi. Półnadzy tłumnie wybiegali z domów i rozpoczynali walkę poranną, szybką, ruchliwą, pełną zwrotów i pozycyj wymagających wielkiej siły i zręczności. Kierował temi zapasami stary lama, który niegdyś był „bogadyrem“, co znaczy siłaczem, dumą całej Mongolji. Wzrost jego dosięgał 7 stóp, a gdy wsiadał na małego konia mongolskiego, to, wysunąwszy nogi ze strzemion, odrazu stawał na ziemi, koń zaś wyskakiwał z pod niego. W młodości bez wielkiego

wysiłku nosił na plecach starego byka. Grupa mnichów uprawiała gimnastykę oddechową, podług przepisów indyjskiej Hatho-Jogi.

W innem znowu miejscu jacyś przyjezdni książęta ćwiczyli się w strzelaniu z łuków do celu, przedstawiającego ulepione z gliny głowy Chińczyków. Strzelali z odległości 50 kroków; niektórzy z łuczników dobrze władali tą tradycyjną bronią mongolską.

Po powrocie do miasta poczułem w głowie jakiś chaos — skutek tego wszystkiego, com widział i słyszał podczas minionej, fantastycznej nocy bezsennej i drażniącej nerwy.

— Gdzie jestem? W jakim czasie żyję? — pałały w moim mózgu pytania.

— 130 dni życia... Krwawy generał — wcielony „bóg wojny"... zbawiciel narodów... — błyskawicznie mknęły myśli, odtwarzając wrażenia z podróży do siedziby Buddhy... Jednocześnie jeszcze niewyraźnie, wprost odruchowo odczuwałem w tym chaosie ideę jakiegoś wielkiego planu i nie dającą się opisać mękę człowieka...

XI.

W PAŁACU „ŻYWEGO BOGA".

Po obiedzie wpadł po mnie generał.

— Chcę przedstawić pana Bogdo-Chanowi-Hutuhcie! — zawołał.

Rzadko komu udaje się widzieć „Żywego Buddhę", więc naturalnie odrazu porwałem palto i czapkę i byłem już w samochodzie.

Zatrzymaliśmy się u wrót żółtego, w czerwone pasy muru, otaczającego pałac „boga". Parę setek lamów w szatach czerwonych i żółtych rzuciło się na spotkanie „dziań-dziunia", który za wyzwolenie Mongolji otrzymał od „boga" tytuł „chana". Z wielkim szacunkiem towarzyszyli nam tłumnie do wejścia pałacu.

Wprowadzono nas do obszernej, mrocznej sali. Rzeźbione, ciężkie drzwi prowadziły do apartamentów wewnętrznych. W głębi stał szeroki, niski tron z kilkoma jedwabnemi poduszkami. Oparcie dla pleców było pokryte czerwonym aksamitem i otoczone złotą lamą. Z obydwóch stron stały żółte parawany w ramach

z hebanu, ozdobionych chińską, misterną rzeźbą. Pod ścianą mieściły się niskie szafki oszklone, przeładowane różnemi przedmiotami sztuki chińskiej, japońskiej, indyjskiej i rosyjskiej; była tam nawet spora grupa porcelanowa z Sewru, przedstawiająca tańczących markizów i markizy.

Przed tronem stał długi, bardzo niski stół, przy którym siedziało na poduszkach ośmiu poważnych Mongołów. Pośrodku, na miejscu prezesa zobaczyłem starca o twarzy dobrotliwej i rozumnych, przenikliwych oczach. Oczy te przypominały mi oczy figur japońskiego buddyzmu, jakie widziałem w muzeum cesarskiem w Tokjo, wykute z drogich kamieni oczy Amidy, Danniczi-Buddhy, bogini Kwan-Non i dobrego bożka Chote.

Był to „święty“, szanowany nietylko w Mongolji, lecz i poza jej granicami — Dżałchancy-Hutuhtu, „bóg“ (gegeni) i władca klasztoru w pobliżu jeziora Tessin-Goł, obecnie zaś prezes mongolskiej rady ministrów. Reszta obecnych składała się z ministrów, chanów i wpływowych choszunnych książąt Hałhi.

Barona z honorami posadzono obok prezesa, dla mnie podano krzesło europejskie. Posługując się tłumaczem, baron oznajmił ministrom, że za parę dni opuszcza Mongolję i poleca w dalszym ciągu bronić niezależności ziemi, należącej

do potomków Dżengiz-Chana, którego wielka dusza żyje i połączy wszystkie plemiona mongolskie w jedno wielkie sławne „Środkowe Państwo“.

Po tej krótkiej przemowie Ungern powstał. Mongołowie uczynili to samo. Baron żegnał każdego zosobna, poważnie i surowo. Tylko przed Dżałchancy-Lamą nisko się skłonił, a ten położył mu rękę na głowie, błogosławiąc.

Z sali rady ministrów przeszliśmy do niewielkiego domu, zbudowanego podług mody rosyjskiej. Mieszkał w nim z rodziną „Żywy Buddha“, otoczony tłumem żółtych lamów, sług i doradców Bogdo, urzędników różnych kancelaryj, wróżbiarzy, medyków i faworytów. Od domu przez cały teren pałacu ciągnął się czerwony sznur, którego koniec zwieszał się przez północną ścianę ogrodzenia koło bramy pałacowej. Tłumy pielgrzymów na kolanach czołgały się do tego sznura i z nabożeństwem dotykały go, oddając dozorującemu lamie chatyki i srebro. Dotknięcie sznura oznaczało otrzymanie błogosławieństwa „Żywego Buddhy“, który miał ujmować drugi koniec sznura swojemi dostojnemi rękami. Było to więc coś nakształt błogosławieństwa zapomocą prądu po kablu... Sznur, spleciony z wełny wielbłąda i białego włosia końskiego, był pomalowany na czerwono „sandarakiem“. Mongoł, który dotknął sznura,

dostawał czerwoną taśmę na szyję na znak dokonanej pielgrzymki.

Dużo wiedziałem o Bogdo-Chanie, czyli o „Żywym Buddzie“, zanim ujrzałem go w Urdze. Nieraz słyszałem opowieści o jego pociągu do alkoholu, co doprowadziło go nawet do utraty wzroku; o jego dążeniu do zewnętrznej kultury europejskiej; o jego żonie — „dahyni“, dotrzymującej mu towarzystwa w pijaństwie i w przyjmowaniu posłów cudzoziemskich. Opowiadano mi, że w pałacu stoją klatki z małpami i zamorskiemi ptakami, i że w parku przechadzają się słonie. Bogdo jest posiadaczem wspaniałego samochodu, światła elektrycznego, telefonu, gramofonu, fortepianu automatycznego i innych wynalazków europejskich, jak naprzykład aparatu, masującego twarz, separatora do mleka.

Wszystko to, oczywiście, widziałem, lecz prócz tego zauważyłem jeszcze coś bardziej interesującego i imponującego.

W gabinecie „Żywego Buddhy“, gdzie przechowywano szkatułę rzeźbioną z kości słoniowej, zawierającą pięczeć imperatora, a gdzie w dzień i w nocy czuwali lamowie-sekretarze, panowała dziwna cisza i prostota. Zwyczajny lakierowany stolik z chińskiemi przyrządami do pisania, szkatuła z pieczęcią, zawiązaną w żółtą, jedwabną chustkę, niski fotel i bronzowy piec stanowiły całe umeblowanie. Na ścianach wid-

niały znaki „swastyki“, oraz pasma jedwabnej tkaniny z mongolskiemi, tybetańskiemi, indyjskiemi i chińskiemi napisami. Za fotelem stał ołtarz z figurą złotego Buddhy, przed którym paliły się dwie świece aromatyczne. Na posadzce leżał miękki, żółty dywan.

Gdy weszliśmy, „Żywy Buddha“ był w małej prywatnej kaplicy, do której nikt nie śmiał wchodzić, oprócz samego Bogdo i pewnego mnicha o wysokiej randze kanpo-gelonga, porządkującego w kaplicy i pomagającego Żywemu Buddzie w jego samotnych modłach.

Sekretarz powiedział nam, że Bogdo od rana był bardzo podniecony i przed południem wszedł sam do kaplicy. Długo słychać było głos Bogdo, lecz po chwili rozległ się jakiś inny, nieznany głos. W kaplicy odbywała się narada pomiędzy „ziemskim Buddhą“ a Buddhą niebieskim. Sekretarze słyszeli wykrzykniki przerażonego czemś Bogdo, jego pełne trwogi pytania i gorący, namiętny szept modlitwy.

Postanowiliśmy czekać na Bogdo. Baron jął opowiadać mi o Dżałchancy-Lamie, że w chwilach, gdy ten kapłan wytęża swój mózg, nad głową dostojnika żółtej wiary zjawia się aureola świetlna, którą zresztą Mongołowie zawsze nad nim widzą. Baron twierdził, że osobiście dwukrotnie spostrzegł świetlne promieniowanie nad głową prezesa ministrów mongolskich.

Nagle lamowie, pełniący czynności sekretarzy, zwrócili głowę w stronę kaplicy, nadsłuchując, a po chwili padli na twarz. W tym samym momencie drzwi powoli się uchyliły i, podpierając się wysoką laską z kości słoniowej, wszedł, imperator Mongolji, „Żywy Buddha“, jego świętobliwość Bogdo - Dżeptsung - Damba - Hutuhtu-Gegeni-Chan.

Był to dość otyły starzec, liczący około 70 lat, o starannie ogolonem obliczu, przypominającem dumne twarze patrycjuszów rzymskich. Ubrany był w żółty „chałat“ mongolski z czarnem obramowaniem. Głowę miał prawie łysą, oczy szeroko rozwarte, jakby ździwione lub przerażone. Ciężko opadł na fotel i wyszeptał:

— Piszcie!

Lamowie z zasuniętych za pas futerałów natychmiast wydobyli papier i przyrządy do pisania. Bogdo zaś zaczął dyktować swoje widzenie i rozmowę z Buddhą w kaplicy. Czynił to w sposób bardzo zawiły i pełen alegoryj.

Starzec mówił długo, mowę zaś swoją zakończył sakramentalnym frazesem:

— Wszystko to widziałem ja, Bogdo-Chan-Hutuhtu, 31-szy „Żywy Buddha“, który tego dnia rozmawiał z wielkim, błogim i mądrym Buddhą, otoczonym dobremi i złemi duchami. Mądrzy lamowie, hutuhtu, kanpo, maramby i święci gegeni, raczcie wyjaśnić moje widzenie!

Skończywszy, wytarł spocone czoło czerwoną chustką i zapytał, kto jest obecny w pokoju.

— Chan, dziań-dziuń, baron Ungern! — odpowiedział, klęcząc, sekretarz-lama.

Baron zbliżył się do starca i przedstawił mnie. Bogdo uczynił znak powitania, poczem zaczął rozmowę z generałem.

Przez drzwi otwarte widziałem wnętrze małej kaplicy Bogdo-Hutuhty. Zauważyłem wielki stół, przywalony stosami starych ksiąg. Obok stał piecyk z palącemi się węglami, oraz kosz z łopatkami i wnętrznościami baranów. Ungern wstał i schylił czoło przed Bogdo, który objął głowę potomka krzyżaków i zaczął się modlić. Zdjąwszy z piersi ciężki posążek Buddhy, wiszący na czerwonym sznurku, zawiesił go na szyi barona.

— Nie umrzesz! — wyszeptał w uniesieniu, — wiedz, że przeistoczysz się w formę doskonalszą! Pamiętaj o tem, synu, pamiętaj, Chanie wdzięcznej ci zawsze Mongolji, pamiętaj, przeistoczony duchu wojny!...

Zrozumiałem, że „Żywy Buddha“ błogosławił krwawego generała przed śmiercią.

Opuściliśmy siedzibę „boga“.

XII.

ŻYWY BUDDHA.

W kraju tajemnic i cudów Mongolji, żyje mistyczny skarbiec wszelkiej tajemnicy i nieznanych przejawów sił przyrody, „Żywy Buddha", 31-sza forma nigdy nie umierającego Buddhy, jego świętobliwość Bogdo-Dżeptsung-Damba-Hutuhtu-Gegeni-Chan.

Jest on spadkobiercą trwającej w tajemniczy sposób od 1670 r. dynastji cesarzów duchowych, noszących w sobie ciągle udoskonalającego się ducha Buddhy, Awalokiteszwara oraz Czen-Za-Zi, czyli „Ducha Himalajów". W nim jest złączone wszystko: słoneczny mit, czar tajemniczych, niebotycznych szczytów straszliwych Himalajów, legendy świątyń indyjskich, groźna wspaniałość dawnych władców Mongolji i Chin, mgliste kroniki mędrców chińskich. W polityce urgińskich Bogdo-Chanów jest połączenie różnorodnych wpływów: rozpamiętywania braminów, mnisza surowość sekty Gełuk-Pa, która dała początek „żółtej wierze", mściwość odwiecznych koczowników Oletów — Kałmuków, dumne i po-

tężne pomysły Dżengiz-Chana i Kubłaja, zacofana, pełna zabobonów hierarchiczno-klerykalna psychologja, tajemnica królów tybetańskich i bezwzględność rewolucjonisty religijnego, sekciarza Paspy. Cała mglista historja Azji: Pamiru, Himalajów, Mezopotamji, Persji i Chin otacza tajemnicą tron „Żywego Buddhy“ w Urdze. Nic więc dziwnego, że imię jego jest z czcią wymawiane na brzegach Wołgi, w Arabji, Azji Centralnej, w Indjach, na Syberji i na brzegach oceanu Lodowatego.

Kilka razy udało mi się być w siedzibie Bogdo Chana. Rozmawiałem z „Żywym Buddhą“; opowiadały mi o nim osoby, najbliżej przy nim będące — uczeni maramba; widziałem jego wróżby, słyszałem jego proroctwa, oglądałem składy ksiąg starożytnych i kronik dziejów wszystkich Bogdo-Chanów. W pałacu „boga“ cieszyłem się zaufaniem, ponieważ pismo hutuhtu Narabanczi-Kure otwierało mi drzwi świątyń, oraz usta i serca lamaitów.

Znajomość z osobą najwyższego kapłana mongolskiej „żółtej wiary“, oraz z jego rządem zrodziła we mnie cały szereg myśli o charakterze politycznym i dała mi możność zrozumienia planów hetmana Siemionowa i barona Ungern von Sternberga.

Panujący obecnie „Żywy Buddha“ jest osobistością dwoistą, jak wszystko w lamaizmie.

Rozumny, przenikliwy, energiczny Bogdo jednocześnie oddaje się nałogowi pijaństwa, który doprowadził go do ślepoty. Wtedy to lamowie wpadli w rozpacz. Jedni wypowiadali się za tem, aby ślepca otruć, a tron jego oddać innemu przeistoczonemu bóstwu; inni zaś, uwzględniając wielkie zasługi Bogdo dla lamaizmu i Mongolji, postanowili przebłagać bogów wzniesieniem wspaniałej świątyni Ariabolo — „grodu lamów“ — z olbrzymim posągiem złoconego Buddhy.

Nie pomogło to wprawdzie niewidomemu Bogdo w odzyskaniu wzroku, lecz zato owa rozbieżność zdań wśród kleru i znaczna zwłoka czasu pozwoliły mu stopniowo wyprawić do Nirwany zbyt radykalnych lamów.

Nie przestając myśleć ani na chwilę o sprawach kościoła i polityki mongolskiej, Bogdo lubi jednak zabawiać się różnemi rzeczami ciekawemi. Tak np. interesował się on przez pewien czas artylerją. Jakiś przedsiębiorczy oficer rosyjski podarował mu dwie stare armaty, z których, ku wielkiej uciesze niewidomego „boga“ strzelano w dnie świąteczne. Za tę przyjemność Bogdo nadał oficerowi tytuł „Tumbair-huna“, co znaczy „księcia miłego memu sercu“. Samochody, bicykle, gramofony, telefony, kryształy, porcelana, obrazy, perfumy, instrumenty muzyczne, rzadkie ptaki i zwierzęta w rodzaju

słoni, niedźwiedzi himalajskich, małp, wężów indyjskich i papug — wszystko to przesunęło się przez pałac „boga“, lecz o wszystkiem bardzo szybko zapominano.

Do Ta-Kure *) wpływają podarki, ofiary, danina religijna ze wszystkich końców lamaickiego świat.

Pewnego razu skarbnik „boga“, czcigodny Bałma-Dordżi-Lama, pokazał mi wielką salę, gdzie przechowywano te podarki. Było to drogocenne muzeum, jedyne w swoim rodzaju. Tu nagromadzono przedmioty nieznane w zbiorach Europy. Mogłem je obejrzeć tylko bardzo pobieżnie, lecz i tego wystarczyło, aby sądzić o wartości tych nadzwyczajnych skarbów, i o powadze i polityczno-moralnem znaczeniu dostojnika „żółtej wiary“.

Skarbnik, otwierając szafy i kufry, ozdobione srebrem i złotem, opowiadał:

— Tu przechowujemy dziwne w swoich kształtach kawałki złota z Bej-Kemu, tu — czarne sobole z Kiemczyckiego Nojonatu. Tu są złożone cudotwórcze „panty“ **); w tej szkatule z rogu barana skalnego wodzowie Oroczenów przysłali z dalekiej północy czarowne korzenie „Dżeń-Szengu“ i „Cybetu“, pachnącego piżmem; ten kawał bursztynu pochodzi z brzegów

---

*) Mongolska nazwa Urgi — wielki klasztor.
**) Wiosenne rogi jelenie.

morza, wiecznie pokrytego lodem, a waży 134 łana *); tu przechowujemy drogie kamienie z Indyj...

Długo jeszcze wyliczał, opowiadał i sam nie mógł ukryć zachwytu nad pokazywanemi przedmiotami. Przed mojemi oczami piętrzyły się stosy najdroższych futer: białego bobra, czarnych, białych i niebieskich lisów, czarnych soboli, czarnych panter; małe, misterne rzeźbione pudełka szyldkretowe, w których przechowywano cienkie, jak pajęczyna, 10-yardowe jedwabne „chatyki" indyjskie; woreczki, plecione ze złotych sznurków, a pełne pereł, przysłanych od radży Trawankoru; olśniewające przepychem i misterną robotą sygnety ze szmaragdami, rubinami i szafirami z Chin i z Indyj; olbrzymie chryzoprazy, diamenty; kość słoniowa z artystyczną inkrustacją ze złota, pereł i drogich, barwnych kamieni; tęczowe tkaniny, haftowane złotem i srebrem; kły morsów, na których artyści, rybacy z morza Berynga, nacięli dziwaczne rysunki sztuki pierwotnej.

Niepodobna wyliczyć wszystkiego!

W oddzielnym pokoju stały ofiarne posągi Buddhy: złote, srebrne, z bronzu, kości, korali, z masy perłowej, kryształu, ametystów i nefrytu; były tam posągi z rzadkich, nieznanych gatunków drzew barwnych i aromatycznych.

---

*) 11 funtów.

— Niech pan weźmie który z tych posągów i obejrzy go! — zaproponował mi mój uprzejmy przewodnik.

Uczyniłem to i odrazu posłyszałem jakiś chrzęst i turkot wewnątrz posągu.

— Słyszy pan? — zapytał skarbnik, uśmiechając się chytrze. — To są drogie kamienie i kawałki złota. To „wnętrzności“ boga. Tu się kryje przyczyna dlaczego wy, Europejczycy, przy zdobywaniu — jak to było w 1900 roku w Chinach — miast buddyjskich i świątyń, przedewszystkiem zaczynacie burzyć nasze posągi, mówiąc, że nasi bogowie są wrogami waszych. Lecz przyczyna waszej nienawiści dla naszych bogów leży w chęci zagarnięcia wnętrzności posągów... W ten sposób bardzo wiele znakomitych, drogich kamieni wyszło na świat dzienny ze zmroku posągów, do których zasyłały modły narody Babałanu,*) Chin i Indyj.

Długą amfiladę pokoi zajmuje książnica „boga“. Są tu ręcznie pisane foljały z różnych epok, we wszystkich podobno językach azjatyckich, na różnorodne tematy: religijne, filozoficzne, historyczne i magiczne. Widziałem rękopisy, rozsypujące się w proch. Żeby uratować je od ostatecznego zniszczenia, lamowie moczą je lepkim sokiem jakiejś rośliny tybetań-

*) Babilonu.

skiej. W szafach leżą tablice gliniane z asyryjskiemi hieroglifami. Księgi chińskie, indyjskie, tybetańskie i mongolskie przechowują się w osobnych szafach. Zawierają one dzieła z zakresu buddyjskiego kultu Sakkya-Muni, sekty „czerwonych kołpaków“ *) oraz księgi żółtego buddyzmu, czyli tybetańskiego lamaizmu, legendy, historyczne kroniki, przepowiednie, magiczne, lekarskie i astrologiczne przepisy, formuły, traktaty. Setki lamów wertują te stare szpargały, studjując je, przepisując, szerząc w ten sposób i przechowując starożytną naukę i legendy. Istnieje pokój, gdzie zgromadzono wyłącznie tajemnicze dzieła magiczne z opisami życia, czynów i cudów wszystkich 31 „Żywych Buddhów“; bullę Dalaj-Lamy, orędzia mądrego Taszy-Lamy; pisma hutuhtów chińskiego lamaizmu z Wu-Ta-Y; dzieła antagonisty „Żywego Buddhy“ — Pandity-Gegeni z Dołon-Noru, oraz perjodyczne horoskopy stu chińskich mędrców buddyjskich. Klucze od tej tajemniczej komnaty są starannie przechowywane w szkatule „boga“ wraz z pierścieniem Dżengiz-Chana i z pieczęcią cesarską.

Osoba „jego świętobliwości“ jest otoczona 5000 lamami, podzielonemi na kilka stopni hierarchicznych, od prostych służek kościelnych

*) Buddyzm zepsuty przez naleciałości demonologiczne.

do „radców boga“, z których właśnie składa się rząd niezależnej Hałhi.

Szczególnie interesowały mię trzy kategorje lamów, o których opowiadał mi sam „Żywy Buddha“, gdym go odwiedził wraz z księciem burjackim, Dżam-Bałonem, pomocnikiem i przyjacielem barona Ungerna. „Buddha“ uskarżał się, że leniwe, bogate i rozpustne życie, jakie prowadzą lamowie, z zatrważającą szybkością zmniejsza ilość prawdziwych, natchnionych wróżbiarzy i proroków.

— Gdyby nie Dżałchancy i Narabanczi Hutuhtu, prowadzący surowy ascetyczny rygor klasztorny, Ta-Kure pozostałoby niezawodnie bez wróbiarzy i jasnowidzących. Przeszli w inne formy istot, błogosławieni przez bogów Barun-Abaga-Nar, Dorczyuł-Dżurdok, którzy mogli widzieć tajemnice przyszłości i dalekie cienie przeszłości.

Bogdo miał słuszne powody do obaw, gdyż kategorja wróżbiarzy w jego dworskiem otoczeniu jest nader potrzebna. Objaśnia się to tem, że każda nowa osobistość, zjawiająca się w pałacu „boga“ zostaje pokazywana najpierw lamowi-wróżbiarzowi, czyli „dzurenowi“, który na podstawie swojej tajemniczej sztuki informuje się co do przeszłości i przyszłości przybysza, i w ten sposób „Żywy Buddha“ już wie, jak ma rozmawiać z gościem lub interesantem.

„Dzureny“ są najczęściej starcami; są to surowi asceci, wyniszczeni bezsennemi nocami i ciągłemi praktykami jogów. Widziałem i młodych „dzurenów“, czasem nawet dzieci. Lecz są to „hubiłgani“, bóstwa przeistoczone, w przyszłości hutuhtu i gegeni klasztorów lamaickich.

Drugą kategorję uczonych lamów stanowią medycy, czyli „ta-lamowie“. Badają oni działanie na organizm ludzki traw i ziół, oraz soków zwierzęcych, przechowują recepty medycyny tybetańskiej i leczą chorych. Bardzo starannie studjując anatomję i fizjologję człowieka, medycy ci jednak nie posiłkują się wiwisekcją. Są to bardzo zdolni masażyści, wprawiacze kości, znawcy hipnotyzmu, żywego magnetyzmu i okultyzmu, co szeroko stosują w praktyce lekarskiej.

Trzecią nareszcie kategorją jest najwyższy stopień lekarski, dostępny prawie wyłącznie dla Tybetańczyków, Kałmuków i Burjatów. Są to „turdzy-lamowie“ czyli lekarze-truciciele. Możnaby ich nazwać „doktorami medycyny politycznej“. „Turdzy-lamowie“ mieszkają w odosobnieniu, pędzą życie samotne i są milczącą, tajemniczą bronią w rękach „Żywego Buddhy“ — Bogdo-Chana.

Książę Dżam-Bałon objaśnił mnie, że turdzy-lamowie przeważnie są niemowy, gdyż prawdopodobnie w dzieciństwie podlegają specjalnej

operacji. Widziałem jednego „turdzy". Był to ten sam lekarz, który otruł swego chińskiego kolegę, przysłanego do Urgi z Pekinu dla zgładzenia ze świata nader zuchwałego i niezależnego Bogdo. Malutki, przygarbiony do ziemi, pomarszczony staruszek z siwą, kozią bródką miał zbyt bystre, przenikliwe oczy, aby można było czuć do niego zaufanie. Gdy „turdzy" przybywa do gegeni jakiegoś klasztoru, do koczowiska chana lub księcia, ci odrazu przestają jeść i pić, obawiając się trucizny, którą posiada ta mongolska Lokusta rodzaju męskiego. Jednak żadne środki ostrożności nie uchronią skazanego. Zatruta czapka, koszula lub buty zmoczone płynem trującym, paciorki różańca, lub frendzle uzdy, monstrancja posypana zabójczym proszkiem, lub księgi rytualne — dokonają wyroku „Żywego Buddhy".

Niewidomy dostojnik lamaicki otoczony jest najgłębszą czcią i ubóstwieniem religijnem. Wszyscy padają przed nim na twarz, a lamowie zbliżają się do tronu jego, czołgając na kolanach.

Wszystko to jest ponure, tchnie wschodnią starożytnością i psychologją pierwotną. „Żywy Buddha" — to krzyczący anachronizm dla nas, Europejczyków. Pijany ślepiec, lubujący się w banalnych piosnkach gramofonu, lub puszczający prąd elektryczny w swoich przybocznych lamów; okrutny starzec, trujący potajemnie

swoich politycznych przeciwników; dostojnik kościoła, trzymający w ciemnocie umysłowej swój naród i ogłupiający go swemi proroctwami i wróżbami — nie jest jednak zupełnie zwyczajnym człowiekiem.

Pewnego razu, gdy siedzieliśmy w gabinecie Bogdo i książę Dżam-Bałon tłumaczył mu moje opowiadanie o postępach nauki zachodniej, starzec nagle podniósł głowę i zaczął nasłuchiwać, co się dzieje w kaplicy; jakkolwiek wytężałem cały swój słuch, żaden dźwięk nie dochodził mnie. Wreszcie ślepiec podniósł się z poduszek i pokornym, przestraszonym, pełnym ekstazy religijnej głosem rzekł:

— Bogowie wzywają mnie...

Sekretarze, podtrzymując Bogdo pod ręce, doprowadzili go do kaplicy. Wszedł sam i szczelnie zamknął za sobą drzwi. Pozostawał w kaplicy przez dwie godziny, które spędził na modlitwie. Składa się ona z rozmowy z niewidzialnem bóstwem, w imieniu którego Bogdo sam daje odpowiedzi na swoje pytania. Wyszedł z kaplicy blady, wyczerpany, lecz spokojny i radosny. Jest to osobista modlitwa samotna „Żywego Buddhy".

W kościelnych ceremonjach Bogdo bierze tylko udział bierny. Jest wtedy tylko „Bogiem". Lamowie stawiają go z tronem na ołtarzu i modlą się do niego wraz z pobożnym ludem. On

zaś wysłuchuje i przyjmuje modły, prośby, nadzieje, łzy, rozpacz i radość i patrzy przed siebie nieruchomo, szeroko rozwartemi, niewidomemi źrenicami. Lamowie, zależnie od momentu nabożeństwa, ubierają go w rozmaite płaszcze i nakładają mu na głowę przeróżnej formy czapki, mitry i kołpaki. Nabożeństwo kończy się chwilą doniosłą, gdy „Żywy Buddha“ w złotej tiarze błogosławi narody wschodu, zachodu, północy i południa monstrancją, wyobrażającą Buddhę w kwiecie lotosu, i odmawia modlitwę ofiarną, wyciągając ręce na Zachód i w stronę Europy, do której podług przepowiedni powinna wtargnąć nauka mądrego Buddhy.

Gdy wszyscy wychodzą ze świątyni, Bogdo pozostaje sam na sam z bóstwem i zaczyna modlić się długo i gorąco, z natchnieniem improwizując modlitwy i psalmy prześliczne w swej formie. Czasami podczas rozmowy lub posłuchania ministrów starzec odchodzi do świątyni lub kaplicy na modlitwę, mówiąc z namaszczeniem:

— ON wszedł do NIEGO, i ich dusze połączyły się w zrozumieniu...

Przy tych słowach wszystkich ogarnia strach mistyczny, wszystko ucicha i zamiera przed obliczem jakiejś uroczystej tajemnicy; lamowie stają do modlitwy i, przebierając różańce, szepcą frazes święty:

„Om! Mani padme, Hung!", lub kręcą koła z napisanemi na nich modlitwami i zaklęciami; wróżbiarze przystępują do swoich praktyk; jasnowidzący zapisują swe objawienia; uczeni bibljotekarze odszukują w starych foljałach i zwojach rękopisów teksty, wyjaśniające słowa „Żywego Buddhy".

XIII.

CIENIE DAWNYCH WIEKÓW.

Widziałem nieraz w starych zamczyskach Francji, Włoch i Anglji szary, miękki kurz na gzymsach ścian i na framugach okien; widziałem w kątach piwnic i lochów starożytnych budowli całe płachty starej, czarnej pajęczyny... Są to również zabytki dawno minionych wieków! Może ten pył dotykał twarzy, hełmów i mieczów rzymskiego cezara, Św. Ludwika, Wielkiego Inkwizytora lub Galileusza? Mimowoli głęboki szacunek i rozrzewnienie ogarniają duszę przed tymi świadkami dawno ubiegłych epok. Takie samo wrażenie miałem w Ta-Kure. Może nawet jeszcze głębsze i silniejsze! Życie tu płynęło tem samem łożyskiem, którem płynęło również tysiąc lat temu. Cały lud żyje tu tylko przeszłością, wspomnieniami, legendami i tradycjami; wszystko, co jest współczesne, wikła tylko, burzy to pierwotne, naturalne życie Mongołów.

— Dziś wielki dzień! — oznajmił mi pewnego wieczora Bogdo. — Dzień zwycięstwa buddyzmu nad wszystkiemi innemi wyznaniami! W tym dniu przed ośmiu wiekami wielki chan Kubłaj zawezwał do siebie kapłanów wszelkich wyznań i rozkazał im opowiadać, w co i jak każdy z nich wierzy. Wszyscy wychwalali swoich bogów i swoich najwyższych kapłanów. Wśród kapłanów zaczął się spór. Tylko jeden milczał. Wreszcie pobłażliwie się uśmiechnął i rzekł:

— Wielki Bogdo-chanie, panie i władco! Rozkaż każdemu z nich uczynić cud i dowieść siły swoich bogów. Później wybierz sam boga najpotężniejszego!

Kubłaj-Chan zgodził się na jego radę i wydał kapłanom rozkaz wykonania cudu; lecz wszyscy stali zmieszani i nikt nie ruszył się z miejsca.

— Teraz — rzekł nachmurzony chan do milczącego lamy — musisz uczynić cud ty, nieproszony doradco! Pokaż potęgę swych bogów!...

Lama długo i uporczywie wpatrywał się w oczy chana, później objął wzrokiem wszystkich obecnych i wyciągnął rękę. W tej chwili złoty kubek chana oderwał się od stołu, a ręka niewidzialna przycisnęła go do ust Kubłaja, który uczuł smak rozkosznego, orzeźwiającego napoju. Wszyscy oniemieli, a wielki Kubłaj,

władca Mongolji, Chin, Sjamu i Indyj zawołał:

— Chcę się modlić do twoich bogów i do nich będą zanosili modły podwładne mi narody, plemiona i szczepy od krańca po kraniec ziemi! Jak się nazywa twoja wiara, ktoś ty jest, i skąd przybyłeś?

— Moja wiara to nauka mądrego Sakkya-Muni — Buddhy. Jestem Pandita — lama Turdzy-Gamba z dalekiego, świętego klasztoru Sakkya w Tybecie, gdzie przebywa wcielony w człowieka duch „nauczyciela mądrych", cała jego wiedza i potęga. Pamiętaj, królu, że narody, wyznające naszą wiarę, będą władały wszystkiemi obszarami krajów Zachodu i w ciągu 811 lat ustalą naszą naukę na całej ziemi. Nauka Buddhy będzie płynęła powietrzem w postaci łagodnego lub burzliwego wiatru, będzie biegła przez góry i lasy drogami niewidzialnemi, będzie się sączyła podziemnemi potokami coraz to głębiej, coraz to dalej...

— To stało się w owym dniu na wiele wieków przed nami. Lama Turdzy-Gamba nie powrócił do Tybetu, lecz pozostał tu, w Ta-Kure, gdzie wtedy istniała jedna tylko mała kaplica „Obo". Stąd odbywał on podróże do stolicy chanów w Karakorumie i do stolicy Chin w celu umocnienia imperatora w wierze, udzielania mu rad i przepowiadania losów narodów i państw.

Bogdo milczał przez chwilę, poczem ciągnął dalej:

— Ta-Kure — to stare gniazdo „żółtej wiary"... Gdy synowie Dżengiza-Chana przedsięwzięli wyprawę do Europy, poszli z nim na wojnę odważni Oletowie-Kałmucy, którzy jednak już nie powrócili do swych stepów, pozostawszy na Wołdze i na brzegach wielkiego morza.*) Po kilku wiekach powołali ich do Mongolji lamowie „żółtej wiary", aby stoczyli walkę z królami Tybetu i z lamami — „czerwonemi kołpakami", którzy ujarzmili lud Tybetu. Kałmucy zwyciężyli, rozbroiwszy około jeziora Tengri-Nur wojska „czerwonych kołpaków". Lecz wówczas zrozumieli, że Lhassa, Taszy-Lumpo i Sakkya,**) leżą zbyt daleko od świata mongolskiego, od rdzennych szczepów dżengizowych, a więc nie mogą szybko i dzielnie szerzyć nauki Buddhy pośród narodów Azji. Książę kałmucki, Guszy-Chan, przywiózł z Tybetu do Urgi świętego lamę, imieniem „Undur-Gegeni", który przebywał niegdyś w podziemnem państwie „Władcy Świata". Był on pierwszym przeistoczonym „Żywym Buddhą", i od tej pory istnieje dynastja „Żywych Buddhów" — Bogdo, chanów mongolskich. Po-

*) Morze Kaspijskie.

**) Najbardziej czczone świątynie lamaickie i stolice najwyższych dostojników „żółtej wiary" w Tybecie.

zostawił on nam w spuściźnie sygnet Dżengiza, kubek z czaszki tajemniczego, czarnego cudotwórcy z nieznanej ziemi. Z tego kubka pił wodę 1600 lat temu król Tybetu, cnotliwy, surowy Srongtsan. Pierwszy „Żywy Buddha“ sprowadził do Mongolji kamienny posąg Buddhy, który był przywieziony z Deli do Tybetu przez założyciela „żółtej wiary“, Paspę...

Bogdo klasnął w dłonie; wówczas jeden z lamów wyjął z czerwonej chustki duży klucz srebrny i otworzył stojącą na stole szkatułę z pieczęciami. Starzec opuścił rękę i wyjął pudełko z kości, w którem przechowywano wielki sygnet złoty z czarną emalją, oraz z dużym rubinem z wyrżniętym w nim znakiem swastyki.

— Ten pierścień był zawsze na prawej ręce Dżengiza, a później Kubłaj-Chana — objaśnił Bogdo.

Gdy zamknięto szkatułę, „Żywy Buddha“ rozkazał jednemu z marambów *) opowiedzieć mi o „czarnym kamieniu“, największej relikwji lamaickiej, o której często wspominają lamowie przy nabożeństwach zimowych. „Maramba“ głosem wyuczonym zaczął szybko recytować:

— Gdy odważny Guszy-Chan, wódz Oletów, skończył wojnę z „czerwonemi kołpakami“

*) Maramba — uczony teolog lamaicki.

w Tybecie, wywiózł on z sobą cudowny „czarny kamień", który niegdyś był przysłany Dalaj-Lamie przez „Władcę Świata". Guszy-Chan zamierzał założyć na Zachodzie Mongolji stolicę „żółtej wiary", żeby zjednoczyć w sercu Buddhy wszystkie szczepy Mongołów w Azji Środkowej. Lecz Oletowie zmuszeni byli walczyć z Mandżurami o tron Chin, o tę spuściznę Wielkiego Mongoła. Walka była niepomyślna, i ostatni chan Amursana musiał ukryć się w Rosji, lecz przedtem przysłał do Ta-Kure „czarny kamień". Dopóki był on w ręku „Żywego Buddhy", choroby i śmierć nie grasowały w Mongolji. Sto lat temu jacyś zbrodniarze ukradli tę naszą relikwję i próżno buddyści szukają jej teraz po całym świecie! Ze zniknięciem jej lud mongolski i jego stada wymierają straszliwie!

— Dość — rzekł Bogdo. — Chińczycy i Rosjanie znęcają się nad nami, nasi sąsiedzi poniewierają nami! Zapomnieli oni o twardej ręce swoich władców: Dżengiza, Ugedeja i Batyja. Lecz my przechowujemy stare przepowiednie i wierzymy, iż przyjdzie dzień zwycięstwa narodów plemienia mongolskiego i „żółtej wiary"...

Tak mówił „Żywy Buddha", i tak głosiły stare, zmurszałe, rozsypujące się w proch foljały.

XIV.

KSIĘGI O CUDACH.

Książę Dżam-Bałon, który był moim przewodnikiem w siedzibie „Żywego Buddhy", prosił marambę o pokazanie mi książnicy Bogdo. Był to niewielki pokój, w którym pracują przepisywacze kronik, mówiących o cudach „Żywych Bogów" mongolskich, zaczynając od Undur-Gegeni i kończąc na cudach istniejącego „Żywego Buddhy", oraz gegeni i hutuhtu różnych klasztorów mongolskich. Kroniki te następnie rozsyłane są do wszystkich klasztorów, świątyń i szkół bandi.

Maramba przeczytał mi niektóre urywki.

— Błogosławiony Bogdo-Gegeni dmuchnął na zwierciadło. Wówczas, jak przez mgłę, zjawiła się obszerna dolina, gdzie tysiące tysięcy ludzi walczyło z sobą...

— Mądry, miły bogom „Żywy Buddha" zapalił wonności w wazie ofiarnej i modlił się do bogów, prosząc o wskazanie losów książąt. W niebieskim dymie wszyscy ujrzeli ponure,

ciemne więzienie i blade ciała zmarłych książąt, wyczerpanych cierpieniem...

Po każdym takim opisie następowały komentarze i przepowiednie.

Osobna księga, przepisywana już po tysiąc razy, głosiła o cudach obecnego Bogdo-Chana. Z niej odczytał mi maramba parę ustępów:

— W pałacu Bogdo-Chana przechowuje się stary drewniany posąg Buddhy z otwartemi oczyma. Posąg ten przywieziono z Sjamu. Bogdo kazał postawić go na ołtarzu w swojej kaplicy, dokąd natychmiast udał się na modlitwę.

Wyszedłszy stamtąd, kazał przynieść posąg do pokoju. Zdumienie ogarnęło wszystkich, gdyż oczy boga były zamknięte, a z pod powiek błysnęły łzy, z drewnianego zaś ciała wyłoniły się świeże gałęzie o liściach pachnących cudnie.

Rzekł wówczas Bogdo-Chan:

— Rozpacz i radość czekają na mnie. Stanę się niewidomy, lecz Mongolja zostanie wolnym krajem za mego panowania na tronie „Żywych Buddhów" i Dżengiz-Chana!

Przepowiednia się ziściła.

— Innym razem Bogdo w dniu, gdy nawiedzają go trwoga i niepokój, wziął wielkie naczynie z wodą i, postawiwszy je przed ołtarzem świątyni przepowiedni, dokąd zwołał lamów wyższych stopni, zaczął się modlić, przy śpiewie

chóru lamów, wychwalających mądrość Buddhy. Nagle na ołtarzu zapaliły się świece i lampki z olejkiem wonnym, woda zaś w naczyniu mieniła się wszystkiemi barwami tęczy.

Dżam-Bałon opowiadał mi, jak Bogdo-Chan wróży zapomocą świeżej krwi, na powierzchni której zjawiają się obrazy i napisy; w jaki sposób ten ślepiec odczytuje tajemnicze zdania na drgających jeszcze wnętrznościach baranów i kozłów. Z układu zaś wnętrzności Bogdo poznaje myśli, oraz polityczne plany chanów i książąt; kamienie i kości odkrywają „Żywemu Bogu" przeszłe i przyszłe losy człowieka; zgodnie z położeniem gwiazd na niebie starzec układa amulety przeciwko kulom i chorobom.

— Starzy Bogdo-Chanowie wróżyli najczęściej podług „czarnego kamienia" — ciągnął dalej maramba. — Na czarnej powierzchni tego kamienia zjawiały się hieroglify tybetańskie, z których składano wyrazy. Kiedy zaś ten cudowny kamień skradziono, Bogdo-Chanowie zaczęli układać horoskopy podług gwiazd lub wróżyć zapomocą wody, krwi, kości i wnętrzności zabitych zwierząt.

Gdy maramba wspomniał o „czarnym kamieniu" i zjawiających się na nim znakach tybetańskich, pomyślałem, że jest to zjawisko zupełnie możliwe, a nie mające nic wspólnego z cudem. W południowym Urianchaju, pomię-

dzy rzeką Hargą a górami Ułan-Tajga, spotkałem miejscowość z wielką ilością odłamów czarnych piaskowców. Na kamieniach tych rosły liszaje, przypominające misterny rysunek koronek weneckich, lub całe tablice jakichś hieroglifów tajemniczych. Ten liszaj jest znany pod nazwą „Tybetańskiego napisu“.

Nikt ze zwykłych śmiertelników nie może prosić Bogdo o wróżbę i przepowiednie. Wróży on, czując natchnienie, lub wówczas, gdy żąda tego specjalnem pismem, posyłanem przez uroczyste poselstwo z darami, świętobliwy Dalaj-Lama lub imperator chiński, jak to było przy dynastji Daj-Cynów.

Cesarz rosyjski, Aleksander I, który, pod wpływem baronowej von Krüdener, pogrążył się w ponury mistycyzm, posyłał podobno specjalnego posła do Urgi, prosząc „Żywego Buddhę“ o przepowiednie. Panujący wtedy Bogdo, prawie jeszcze dziecko, radził się „czarnego kamienia“ i zawyrokował, że „biały car“, czyli „urus-chan“, skończy swe życie w męczeńskiej włóczędze, nikomu nieznany i prześladowany. Jak wiadomo, w Rosji uporczywie utrzymuje się mniemanie, że Aleksander I pod imieniem „starca Fiodora Kuźmicza“ ukrył się na Syberji, gdzie się błąkał z uciekinierami z więzień kryminalnych i z katorżnikami. Z powodu braku dowodów osobistych bywał często więziony i ka-

rany batami; umarł zaś w Tomsku, gdzie do tej pory odbywa się specjalna pielgrzymka do domku, w którym według podania żył i umarł cesarz. Mogiła zaś „Fiodora Kuźmicza“ jest miejscem licznych uzdrowień i innych cudów. Zainteresowanie się tą legendą niektórych członków rodziny Romanowych jeszcze bardziej podtrzymywało wiarę w jej autentyczność. Bolszewicy, którzy, jak wiadomo, powyrzucali z grobowców wszystkich carów, w grobowcu Aleksandra I ciała nie znaleźli, co potwierdza jeszcze prawdopodobieństwo legendy i wzmoże pielgrzymkę do mogiły „starca Fiodora“, którym w rzeczywistości miał być Aleksander I-y, car Rosji, „z dobrej woli pokutujący za zbrodnie i gwałty swoich poprzedników i za własne błędy.“

XV.

ZJAWIENIE SIĘ „ŻYWEGO BUDDHY“.

„Żywy Buddha“ nie umiera. Dusza jego z ciała Bogdo przechodzi do ciała innego człowieka, który rodzi się albo w dzień jego zgonu, albo jeszcze przy życiu dostojnika i „boga“. Ta nowa powłoka „ducha Buddhy“ zjawia się na świat prawie zawsze w jurcie biednego tubylca w Tybecie lub w Mongolji. W tem tkwi gra polityczna. Lamowie obawiają się dopuszczenia na tron Dżengiz-Chana potomka rodu książęcego, gdyż to może spowodować wzmożenie się tego rodu i politykę wrogą lamom, oraz ustrojowi klerykalnemu rządów obydwóch krajów. Obawy te nie są płonne, gdyż już cztery razy Bogdo-książęta wszczynali wielki nieład w rządzie i ustępowali tylko pod wpływem „turdzy“, który wyprawiał ich do cieniów przodków. Przeważna ilość Bogdo pochodziła z Tybetu.

Jeden z wysokich lamów i zarazem chan Jassaktu, którego spotkałem w drodze pomiędzy Uliasutajem a Zain-Szabi, opowiadał mi o sposobach wynalezienia w razie potrzeby nowego „Żywego Buddhy".

— W klasztorze Taszy-Lumpo w Tybecie zawsze dokładnie wiedzą z listów z Urgi o stanie zdrowia „Żywego Buddhy". Gdy jego powłoka ludzka starzeje się, a duch usiłuje ją porzucić, w tybetańskich klasztorach rozpoczynają się osobliwe nabożeństwa i praktyki astrologiczne, wskazujące tych świątobliwych lamów, którzy mogą wynaleźć nową formę ludzką „dla nieśmiertelnego ducha Buddhy". W tym celu obrani lamowie zaczynają podróżować po całym kraju i obserwować dzieci i młodzieńców. Czasami samo bóstwo daje wskazówki. Naprzykład: około jakiejś jurty tubylca zjawi się biały wilk, urodzi się jagnię o dwóch głowach, lub spadnie z nieba „kamień ognisty". Inni lamowie łapią ryby w świętem jeziorze Tengri-Nur i na ich łusce odczytują imię następcy Bogdo-Chana z Urgi; mnisi szukają kamieni z licznemi szczelinami i starają się odczytywać zawiłe kombinacje linij, układając je w litery i wyrazy; hutuhtu wsłuchują się w tajemnicze głosy w wąwozach górskich, gdzie mieszka „duch gór", który czasem dobitnie wymawia imię nowego

dostojnika. Po odnalezieniu kandydata, potajemnie gromadzą o nim wszystkie potrzebne informacje, które oddają pod sąd Taszy-Lamy, noszącego miano „Erdeni“, co znaczy „wielki skarb uczoności“. Ten szuka potwierdzenia wyboru w starych pergaminach indyjskich, lub decyduje sprawę podług tajemniczych znaków Ramy. Jeżeli Taszy-Lama zgadza się z wyborem, zawiadamia o tem bullą Dalaj-Lamę, który po nabożeństwie w świątyni „ducha gór“ kładzie na bulli swoją pieczęć najwyższego kapłana. Jeżeli w tym czasie tron urgiński zostaje osierocony, to do Ta-Kure zjawia się poselstwo z Tybetu wraz z nowym „Żywym Buddhą“.

Wybory gegeni i hutuhtu dla klasztorów mongolskich odbywają się w ten sam sposób, tylko są ograniczone terytorjum Mongolji, zatwierdzenie zaś wyboru należy wyłącznie do Bogdo-Chana w Urdze.

Teraźniejszy niewidomy Bogdo-Chan Hałhi jest Tybetańczykiem i pochodzi z rodziny sług przy dworze Dalaj-Lamy. W młodości prowadził życie burzliwe i całkiem nieascetyczne, lecz wkrótce porwała go idea niezależności Mongolji i utworzenia imperjum mongolskiego pod berłem dżengizowych potomków i pod moralnym wpływem kultury chińskiej. Taki program polityczny odrazu otoczył młodego Bogdo powagą

w oczach Mongołów i sympatjami Tybetu, Burjatów, Kirgizów i Rosji, która dopomagała „Żywemu Bogu“ swoją dyplomacją i swojemi finansami. Bogdo nie obawiał się ostrych wystąpień przeciwko Daj-Cyńskiej dynastji mandżurskiej w Pekinie, ufając w realną pomoc Rosji.

Rząd pekiński, unikając otwartej walki z „Żywym Buddhą“, co mogłoby rozdrażnić buddystów i lamaitów chińskich, pewnego razu posłał do Urgi doświadczonego lekarza-truciciela. Lecz uprzedzony na czas Bogdo, obeznany ze skutecznością trucizn, zalecanych przez medycynę tybetańską, wyjechał na pielgrzymkę do klasztorów mongolskich w Tybecie. Zastępcą jego został niejaki „hubiłgan“,*) który zaprzyjaźnił się z lekarzem, wysondował zeń wszystko, co chciał, i zawiadomił o tem „Żywego Buddhę“. Po kilku dniach lekarz chiński nagle zachorował i umarł, opłakiwany przez hubiłgana i cały dwór urgiński. Wkrótce Bogdo powrócił do swojej stolicy.

Raz jeszcze stanęło przed Bogdo doraźne niebezpieczeństwo. Stało się to wtedy, gdy w Lhassie zadecydowano, że „Żywy Buddha“ uprawia zbyt niezależną od Dalaj-Lamy politykę.

Z kancelarji tybetańskiego najwyższego kapłana przyjechało do Jassaktu-Chana poselstwo

*) Wysoki stopień wcielonego bóstwa.

z listem od Dalaj-Lamy, rozkazującym przyśpieszenie przejścia ducha Buddhy do innej powłoki ziemskiej i obiecującym wielkie za to łaski. Jassaktu-Chan, zgodziwszy się na wspólny sposób działania z Sain-Noin-Chanem, przybył wraz z nim do Urgi, gdzie „Żywy Buddha" przyjął ich nad wyraz serdecznie i zaprosił na obiad. Podczas uczty spiskowcy nagle poczuli się słabo i przed wieczorem zmarli. Bogdo z honorami wyprawił zwłoki posłów do ich stolic koczowniczych.

„Żywy Buddha" wie o każdem słowie, myśli, czynie i zamiarze chanów, książąt, gegeni i hutuhtu, mając wszędzie szpiegów, ku pomocy zaś im w nagłych wypadkach... niemego „turdzy" — truciciela!

Pekin postanowił walczyć z „Żywym Buddhą' innemi sposobami, używając metody intryg politycznych. O tej epoce walki zachłannego Pekinu z wolnościowo nastrojoną Urgą opowiadał mi baron Ungern von Sternberg:

Do Pekinu zostali zaproszeni nie uznający zwierzchnictwa „Żywego Buddhy" Pandita-Gegeni z Dołon-Noru i najwyższy kapłan lamaitów chińskich — hutuhtu z Wu-Ta-Y. Ci dostojnicy, na podstawie jakichś apokryficznych ksiąg buddyjskich, zdecydowali, że obecny Bogdo-Chan jest ostatnim „Żywym Buddhą", po-

nieważ ta część „ducha Buddhy“, która jest w niego wcielona, może posiadać tylko trzydzieści jeden form cielesnych, Bogdo-Chan zaś, licząc od Undur-Gegeni, był właśnie 31-em wcieleniem Buddhy. W ten sposób z jego śmiercią dynastja urgińskich „Żywych Buddhów“ musiałaby zgasnąć, władza przeszłaby do najwyższej rady lamów, z którymi w drodze intryg rząd pekiński łatwiej dawałby sobie radę. Jednak mądry Bogdo znalazł wyjście. Dowodząc nieautentyczności apokryfów, użytych przez swoich przeciwników, wynalazł jednocześnie w literaturze tybetańskiej wzmianki, że jeden z tybetańskich najwyższych kapłanów w Lhassie był żonaty, syn zaś jego był uważany za naturalne przeistoczenie Buddhy, wcielonego w ojca. Bogdo niezwłocznie się ożenił i zrodził syna, bardzo zdolnego i dzielnego młodzieńca, dzięki czemu tron Dżengiz-Chana i stolica „Żywych Buddhów“ nie będą osierocone. Dynastja Daj-Cynów znikła z widowni politycznej, a „Żywy Buddha“ pozostał i wziął w swoje ręce ster jeszcze wyraźniejszej i bardziej stanowczej ideologji panmongolskiej.

W pałacu „Żywego Buddhy“ pokazywano mi duży kufer cyprysowy ze złotem okuciem. Wnim Bogdo przechowywał najdroższe i najważniejsze dokumenty: bulle i listy tybetańskich „Żywych Buddhów“, dekrety imperatorów chińskich,

mongolsko-chińskie umowy, pisma carów rosyjskich, protokół ostatniego proroctwa Bogdo i mosiężną tablicę z tajemniczemi znakami pisma „Wa-Ten“, którego używa „Władca Świata“, a które odczytać potrafi tylko jeden z indyjskich „mahatmów“.*)

*) Bolszewicy otruli „Żywego Buddhę“ i jego żonę. Młody Bogdo, po nieudanej walce z najeźdźcami, ukrywa się obecnie wśród lamaitów chińskich.

XVI.

WIDZENIE „ŻYWEGO BUDDHY“ W DNIU 17 MAJA 1921 r.

Opisywałem już pierwszą wizytę u Bogdo-Chana, gdy po modłach w swojej kaplicy, gdzie miał prorocze widzenie, kazał sekretarzom w mojej obecności zapisywać swoje słowa.

„Modliłem się i zobaczyłem rzeczy, skryte przed oczyma ludzkiemi. Przed sobą ujrzałem wielką równinę, z górami na horyzoncie. Równiną tą szedł stary lama z koszem, pełnym zwyczajnych kamieni. Starzec z trudem się posuwał, gdyż był chory, słaby i znużony. Z północy, z poza gór zjawił się jeździec na białym rumaku, ubrany w białe szaty. Zbliżył się do starca i rzekł:

— Daj mi twój kosz, pomogę ci donieść go do klasztoru.

Lama podał mu ciężki kosz, lecz jeździec nie mógł podnieść go na wysokość siodła. Starzec smutnie poszedł swoją drogą, uginając się pod ciężarem kamieni. Wówczas od północy

ukazał się inny jeździec w czerwonych szatach i na rudym koniu. Jeździec ten rzekł do lamy: „Głupcze, poco nosisz kamienie, gdy ich wszędzie jest poddostatkiem?“ Mówiąc to, potrącił starca koniem, ten upadł, kamienie zaś potoczyły się po ziemi. Spostrzeżono wtedy, że były to drogocenne diamenty. Wszyscy zaczęli w pośpiechu je zbierać, lecz nikt nie mógł oderwać ich od ziemi. Wówczas lama zaczął się modlić, ażeby bogowie dopomogli mu donieść drogocenny, lecz ciężki kosz do celu.

„Przez całe życie — modlił się starzec — niosę to brzemię, a teraz, gdy pozostało tak mało do przejścia, zgubiłem je! Pomóżcie mi, wielcy, miłościwi bogowie!“

Nagle ukazał się stary, stuletni człowiek zgarbiony, zebrał wszystkie diamenty do kosza i, oczyściwszy je z kurzu i trawy, podniósł kosz na ramię i ruszył, mówiąc do lamy:

— Odpocznij tymczasem! Przed chwilą doniosłem do celu swoje brzemię i cieszę się, że mogę ci dopomóc, bracie.

Starcy odeszli i znikli za górami, a jeźdźcy rozpoczęli bój, który trwał do świtu. Gdy weszło słońce, na stepie nie widziałem już nikogo, ani żyjących, ani umarłych. Nawet żadnych śladów dojrzeć nie mogłem. Wszystko to widziałem ja, Bogdo-Chan-Hutuhtu, 31-szy „Żywy Buddha“, który tego dnia rozmawiał z wielkim,

błogim i mądrym Buddhą, otoczonym dobremi i złemi duchami. Mądrzy lamowie, hutuhtu, kanpo, maramba i święci gegeni, raczcie wyjaśnić moje widzenie!

To widzenie było zapisane w mojej obecności. Nie wiem, co odpowiedzieli gegeni i maramba, lecz czyż nie jest zrozumiała odpowiedź na to widzenie ślepego Bogdo, jeżeli głębiej zastanowić się nad dziejami Azji w chwili obecnej?!

Obudzona Azja jest pełna zagadek, lecz zarazem pełna odpowiedzi na pytania, stawiane przez dzieje ludzkości...

Ten kraj kapłanów tajemniczych, żywych bogów, mahatmów i mędrców, czytających straszną księgę losów pojedyńczych osobników i ludów całych, obudził się i wzburzył olbrzymi, zgrozą przejmujący ocean miljarda ludzkich istnień: potworne jego fale piętrzą się wszędzie, aż hen! po krańce horyzontu, za którym leży odłogiem ślepa Europa i kultura zachodnia, tak daleka, niestety, od zagadnień ducha...

XVII.

OSTATNIA NOC.

Baron Ungern zorganizował bardzo wygodną jazdę dla całej naszej grupy na wschód. Mój agronom, a z nim dwóch żołnierzy polskich dostali wielbłądy, wozy, żywność i przewodników i mieli skierować się na granicę Bargi, przeciąć ją z południa na północ, dotrzeć do stacji kolejowej Chajłar; stąd koleją, sprzedawszy konie i wozy, mieli dojechać do Charbina i Szanchaju, gdzie były już konsulaty polskie.

Ja zaś otrzymałem w prezencie od barona i „boga“ samochód, który miał mnie odwieźć tą samą drogą do jeziora Buir-Nor, na granicy Bargi, gdzie powinienem był spotkać agentów Ungerna, którzy ułatwiliby mi przejazd końmi do Chajłaru. Ze mną zamierzał jechać lama z plemienia Turgutów z listami barona do Chin. Mój wyjazd miał nastąpić nazajutrz 21 maja 1921 roku, w godzinę po opuszczeniu przez Ungerna stolicy mongolskiej, skąd generał wy-

ruszał z dywizją swoją na północ na wyprawę przeciwko wojskom bolszewickim, koncentrującym się na pograniczu Zabajkala.

Nadszedł ostatni wieczór mojego pobytu w Urdze. Na obiedzie byłem u barona. Ungern był spokojny i zamyślony. Po obiedzie pojechaliśmy do księcia Dżam-Bałona. Jurta księcia stała na krańcu dzielnicy rosyjskiej, a była urządzona z nadzwyczajnym przepychem.

Gdy samochód zatrzymał się przed jurtą, książę wyszedł na nasze spotkanie. Usadowił nas na wspaniałych poduszkach, kazał podać małe stoliki, na których po chwili zjawiła się herbata w chińskich porcelanowych filiżankach, ciastka, orzechy, daktyle i rodzynki. W głębi jurty stał duży ołtarz z posągiem Buddhy i z kilku jarzącemi się świecami. Na ścianach połyskiwała broń różnego gatunku, i wisiały bogate siodła i uzdy.

— Dziś ostatnia noc, Dżam-Bałonie! — rzekł baron. — Obiecałeś!...

— Pamiętam! — odparł Burjat. —Wszystko przygotowane...

Długo słuchałem wojennych opowiadań tych starych przyjaciół bojowych, ich wspomnień o zabitych towarzyszach i ciężkich, niebezpiecznych przygodach na froncie niemieckim i bolszewickim... Na zegarze wybiła północ. Dżam-Bałon wstał i wyszedł.

— Chcę jeszcze po raz ostatni zapytać o swój los — rzekł generał głosem zakłopotanym, jak gdyby się usprawiedliwiając. — Nie czas mi jeszcze umierać dla sprawy — nie czas!

Burjat powrócił razem z małą kobietą nieokreślonego wieku. Usiadła przy piecyku i ukłoniwszy się nam, utkwiła czarne oczy w twarzy Ungerna.

Baron w milczeniu skinął w jej stronę, lecz kobieta długo jeszcze siedziała nieruchoma, chwilami tylko ogarniając nas bystrym wzrokiem. Cerę miała białą, daleko bielszą niż pospolite Mongołki, rysy również o wiele drobniejsze i delikatniejsze, usta pełne, małe, świeże. Odziana była nie po mongolsku, w czystą suknię koloru ciemnego, a na czarnych włosach miała narzuconą chustkę w pstre pasy. Po jakimś czasie dowiedziałem się, że była to najsłynniejsza wśród Burjatów czarownica i wyrocznia, córka Cyganki i Burjata. Kobieta powolnemi ruchami, jak gdyby od niechcenia, wyjęła woreczek z ziółkami i łopatkę baranią. Szepcząc jakieś słowa niezrozumiałe, od czasu do czasu rzucała do ognia ziółka. Wkrótce poczułem ostry zapach, lekki zawrót głowy i gwałtowne bicie serca.

Czarownica, zużywszy cały zapas ziół, włożyła w ogień kość, opaliła ją i zaczęła uważnie oglądać ze wszystkich stron. Nagle twarz jej

kurczowo się ściągnęła, w oczach zjawił się przestrach i ból. Zerwała z głowy chustkę, krzyknęła przeraźliwie, upadła i zaczęła się wić w konwulsjach, wyrzucając głosem chrapliwym urywane zdania:

— Widzę... groźnego boga wojny... Życie idzie... straszne... za nim cień... czarny, jak noc... czarny... Życie kroczy dalej... Pozostaje do mety... 130 kroków... dalej ciemność... nic nie widzę!... nic nie widzę!... Zniknął bóg wojny...

Ungern ze smutkiem w oczach spojrzał na mnie.

— Znowu 130... 130! — szepnął w rozpaczy.

Kobieta spała, upadłszy nawznak i rozłożywszy ręce, lecz w pewnej chwili wydało mi się, że spostrzegłem błysk jej ostrych źrenic pod czarnemi rzęsami.

Słudzy Burjata wynieśli bezwładne ciało czarownicy, małej, tajemniczej kobiety, która brała w tragedji urgińskiej jakiś niezrozumiały dla mnie udział.

W jurcie zapanowało długie i ciężkie milczenie. Ungern wstał i zaczął szybko chodzić szepcząc coś zcicha. Wreszcie zatrzymał się i z pałającemi oczyma jął śpiesznie mówić:

— Umrę... wszystko jedno! Sprawa zaczęta nie umrze... Widzę już przyszłe losy mego dzieła... Plemiona Dżengiz-Chana obu-

dzone. Nikt już nie potrafi zgasić ognia roznieconego w piersi Mongołów! Po upływie niedługiego czasu Mongolja stanie się olbrzymiem państwem od Spokojnego i Indyjskiego oceanu do Wołgi. Mądra nauka Buddhy będzie się szerzyła na Zachód i Północ. Będzie to zwycięski pochód ducha! Zjawi się bojownik, wódz potężniejszy od Dżengiza i bardziej stanowczy, niż Ugedej. Będzie on mądrzejszy i miłościwszy niż sułtan Baber, i potrafi utrzymać władzę nad Azją i Europą do tego szczęśliwego dnia, gdy zjawi się z głębi swego podziemnego państwa „Władca Świata". Lecz dlaczego, dlaczego mnie już nie będzie wówczas w pierwszych szeregach rycerzy buddhyzmu?! Lecz trudno! Taki wyrok Karmy...

Postąpił kilka kroków, zatrzymał się i rzekł znowu:

— Tak będzie, ale najpierw Rosja powinna się oczyścić z hańby rewolucji! Oczyścić się przez krew i śmierć! Żywiołowym wybuchom przeciwko gwałcicielom duszy ludzkości nie wolno stawiać żadnych przeszkód!

Ungern trząsł ręką w powietrzu, grożąc komuś niewidzialnemu, komuś przekazując swą ostatnią wolę.

Zaczynało świtać...

— Już czas! — rzekł. — Za godzinę wyruszę z Urgi.

Mocno i krótko uścisnął nam ręce, wyszedł z jurty, ale za chwilę powrócił i rzekł ponuro:

— Żegnam was na zawsze! Umrę straszną śmiercią, lecz, jak świat światem, ludzkość nie widziała takiego okrucieństwa, jakie ja pokażę, gdy wtargnę do Syberji ze swoją dywizją!

Drzwi się zamknęły.

Milczeliśmy, nie mogąc ochłonąć ze wzruszenia; ciężkie myśli tłoczyły się i wirowały w głowie.

— Czas już i na mnie! — powiedziałem, wstając. — Dziś przecież i ja odjeżdżam.

— Wiem o tem! — odparł Dżam-Bałon. — Baron pozostawił pana u mnie rozmyślnie. Dam panu jeszcze jednego pasażera do samochodu, mongolskiego ministra wojny, który dopomoże panu w drodze, pan zaś dowiezie go do jego koczowiska. Jest to dla pana niezbędne...

Burjat wymówił te słowa z takim naciskiem, że nie wypytywałem go nawet o szczegóły, ponieważ podczas 9-ciu dni pobytu w Urdze zdążyłem się już przyzwyczaić do tajemnic tego gniazda złych i dobrych duchów.

XVIII.

„CZŁOWIEK Z GŁOWĄ PODOBNĄ DO SIODŁA.“

W godzinę później żegnałem moich towarzyszy ciężkiej podróży, którzy ładowali już na wozy swoje rzeczy, i wkrótce wyjeżdżałem z Urgi samochodem, mając ze sobą otyłego i poważnego ministra wojny i lamę — Turguta, przyglądającego mi się badawczo. Gdyśmy już byli o kilkanaście kilometrów od stolicy „Żywego Buddhy“, usłyszeliśmy ztyłu ryk syreny i turkot samochodu, zbliżającego się w pełnym pędzie. Zauważyłem, że minister spoważniał jeszcze bardziej, a czarnooki lama wcisnął głowę w ramiona i zaczął szybko przebierać różaniec. Instynkt samozachowawczy obudził się odrazu. Poczułem niebezpieczeństwo. Odpiąłem leżącą przede mną torbę i szybko wysunąłem z niej rękojeść mauzera.

W tej chwili dogonił nas samochód, pędzący z szaloną szybkością: siedział w nim pułkownik Sipajłow, jego kat, Czystiakow, i jeszcze jakiś

oficer. Sipajłow, ujrzawszy ministra wojny, zmieszał się. Po chwili, uśmiechając się i sepleniąc, zapytał:

— Pan będzie jechał na Buir-Nor? Jadę też w tamtą stronę, gdyż muszę dogonić wysłanego wczoraj w nocy gońca z listami. Będziemy razem nocowali w Kazahuduku... Do widzenia!

Samochód pomknął dalej, my zaś pojechaliśmy za nim znacznie wolniej. Z wysokiego pagórka dojrzeliśmy woddali samochód, pędzący w kierunku północnym. Zniknął wkrótce za niewysokim łańcuchem gór.

— Stój! — zawołał minister i, zwracając się do mnie, rzekł: — Nie pojedziemy wcale na Buir-Nor i w Kazahuduku nie spotkamy tego człowieka. Dżam-Bałon wczoraj się dowiedział, iż Sipajłow chce pana zabić w drodze. Książę doniósł o tem baronowi, a ten, bojąc się Sipajłowa, kazał mi jechać z panem i zbić z tropu tego zbója. Pojedziemy drogą najkrótszą na Kałgan.

Dowiedziawszy się o zamiarze Sipajłowa, żałowałem szczerze, że nie było ze mną mego agronoma i żołnierzy polskich. Wówczas napewno Sipajłow i jego zbóje nie dojechaliby do Kazahuduku...

W godzinę potem byłem już daleko od miejsca, gdzie spotkałem po raz ostatni „człowieka

z głową podobną do siodła", przed którym ostrzegał mię stary wróżbiarz w okolicach Wan-Kure.

Po trzech dniach dotarliśmy szczęśliwie przez Gobi i przez ziemie plemienia Czaharów do Kałganu, zrobiwszy wraz z lamą ostatnie 100 kilometrów konno w obawie przed chińskiemi władzami pogranicznemi. Po kilku godzinach drogi wyrosły przede mną w grubym murze, otaczającym Pekin, potworne wrota Chien-Men.

Odpoczywając w Pekinie we wspaniałym „Hôtel des Vagons Lits", otoczony możliwemi wygodami kulturalnemi i porzuciwszy wszystkie atrybuty myśliwego i wojownika, długo nie mogłem się pozbyć straszliwych wrażeń z dziewięciu dni, spędzonych w Urdze, gdzie, codziennie spotykałem „szalonego Ungerna" o którym przypominały mi dzienniki, szczegółowo opisujące krwawy pochód jego przez Syberję Wschodnią. Nawet teraz, po upływie prawie ośmiu lat, nie mogę zapomnieć tych nocy szaleństwa, natchnienia i nienawiści, spędzonych w jurcie potomka krzyżaków teutońskich. Przepowiednie się ziściły. Mniej więcej po 130-tu dniach w końcu września 1921 roku baron Ungern von Sternberg zginął w straszliwych torturach w więzieniu bolszewickiem.

Baron Ungern von Sternberg... Przemknął on krwawą wichurą karzącego losu. Co pozostawił po sobie?

Surowy rozkaz, powołujący pod jego sztandary wszystkich uczciwych, kochających ludzkość wojowników i kończący się mistycznie przepowiednią z Apokalipsy.

Lecz Ungern pozostawił po sobie ślad jeszcze jeden, głębszy, który będzie miał znaczenie historyczne.

W jurtach Mongołów różnych plemion, przy ogniskach burjackich, dżungarskich, kirgiskich, tybetańskich pastuchów cichemi, lecz przejętemi głosami śpiewają legendę, zrodzoną przez barona Ungerna:

— Przyszedł z północy biały rycerz i powołał Mongołów do skruszenia kajdan, nałożonych przez niezwalczone Chiny. Padły rozbite kajdany na ziemię naszych wolnych stepów. Ten biały rycerz był odrodzonym Dżengiz-Chanem i przepowiedział przyjście na świat „Wielkiego Mongoła", który szerzyć będzie mądrą naukę Buddhy i sławę władców Azji. Tak będzie!...

Obudziła się Azja, a jej synowie głoszą wolne śmiałe słowa. Biada Zachodowi, jeżeli Azja, natchniona przez „złych duchów", pójdzie nie za mądrym i miłościwym Ugedej-Chanem lub Baber-Sułtanem, lecz za krwawym burzycielem — Tamerlanem Chromym!...

Co też rzeknie w chwili stanowczej „Władca Świata", zjawiwszy się ze swej skrytej w głębi ziemi stolicy?

XIX.

„WŁADCA ŚWIATA."

— Stój — szepnął pewnego razu stary Mongoł-przewodnik, gdyśmy na wielbłądach przebiegali stepy około Cagan-Łuka. — Stój.

Mongoł z jakimś religijnym strachem ześlizgnął się ze swego wielbłąda, a ten uklęknął bez żadnego rozkazu. Mongoł złożył ręce przed twarzą. Obracając się na cztery strony świata, szybko powtarzał:

— „Om! Mani padme, Hung!"

Reszta Mongołów natychmiast zatrzymała wielbłądy i konie i rozpoczęła modlitwę.

— Co się stało? — myślałem ze zdumieniem, widząc przed sobą zieloną, wiosenną trawę, niebo bez śladu obłoków i powietrze nieruchome, jak gdyby śpiące w łagodnych promieniach zachodzącego słońca.

Mongołowie długo stali, zatopieni w modlitwie, wreszcie zaczęli coś szeptać do siebie, następnie zaś umocowali siodła i wory i ruszyli dalej.

— Czy widziałeś — spytał mnie stary przewodnik — jak trwożnie strzygły uszami nasze wielbłądy, jak tabuny koni stały na wzgórzu z podniesionemi, przerażonemi głowami i jak, przycisnąwszy się do ziemi, leżały stada owiec? Czyś zauważył, że nie latały ptaki, nie biegały imurany i szczury? Wszystko się zatrzymało, wszystko słuchało w trwodze!... Powietrze zlekka drgało i niosło zdaleka pieśń dźwięczną, a przenikającą do duszy człowieka, zwierza i ptaka. Niebo i ziemia przestały oddychać. Wiatr ustał nagle i słońce zatrzymało się w swym biegu. W takiej chwili nieruchomieją skradający się do stada wilk i ryś; przerywa swój szybki bieg stado przestraszonych „dżereni“*); wypada nóż z rąk pastucha, zamierzającego zarżnąć barana lub wołu; świstaki nie ryją swych nor; krwiożerczy gronostaj nie napada na śpiącą salgę**); bez ruchu pozostają na firmamencie zasłuchane księżyc i gwiazdy. Wszystko w zachwycie i trwodze modli się, oczekując wyroku! Tak było przed chwilą. W swojej dalekiej, skrytej pod ziemią świątyni „Władca Świata“ modlił się i pytał Boga o losy wszystkich ludów ziemi...

Tak opowiadał mi stary Mongoł, prosty pastuch, przewodnik i myśliwy...

---

*) Antylopa.
**) Kuropatwa.

Ludzie starzy na rzece Amył opowiadali mi słyszaną od dziadów legendę o Mongołach, którzy, skrywając się przed hordami Dżengiza, weszli do podziemi „Władcy Świata“. Sojot pokazał mi w pobliżu jeziora Nogan-Kul jaskinię, która miała być wejściem do państwa podziemnego...

Przez tę jaskinię podobno dotarł do „Władcy Świata“ jakiś zbłąkany myśliwy sojocki i, powróciwszy, zaczął w zachwycie opowiadać, co widział, lecz lamowie obcięli mu język, aby milczał i nie bluźnił. W głębokiej starości myśliwy powrócił do krainy podziemnej, której wspomnienie rozpromieniało jego ciężkie, surowe życie nomada.

Szczegółowsze wiadomości słyszałem o „Władcy Świata“ od Dżełyb-Dżamsrap-Hutuhtu w Narabanczi-Kure; napomykał też o nim Tuszegun-Lama; w chwilach uniesienia wspominali o nim „„Żywy Buddha“ i baron Ungern... Zacząłem robić pewne kroki dla zbadania tej legendy.

Przyboczny lama — gelong księcia Czułtun-Bejle, mnich uczony i oczytany, prosząc o tajemnicę, opowiedział mi o państwie podziemnem.

— Na ziemi wszystko jest zmienne — mówił — ludy, nauka, wiara i moralność. Ileż to

znikło wielkich państw i wspaniałych kultur? Bez zmiany pozostaje tylko zło, broń złych duchów. 60 000 lat temu jeden człowiek święty z całem swojem plemieniem ukrył się w podziemiach, w nieznanych, olbrzymich jaskiniach i nigdy już nie zjawił się na powierzchni ziemi. Wielu ludzi bogobojnych zwiedzało te podziemia. Byli tam Sakkya-Muni*), Paspa, był sułtan Baber. Gdzie jest to miejsce, tego nikt nie wie ściśle. Jedni powiadają, że w Indjach, inni, że w Afganistanie. Mieszkańcy podziemi rządzą się takiemi prawami, przy których zbrodnie i grzech są niemożliwe. Wszyscy ludzie są zabezpieczeni od złego. Nauki kwitną, i nie grozi im zanik, jak to się zdarza na ziemi. Dlatego ludność podziemi doszła do wysokiej wiedzy. Teraz jest to już całe olbrzymie państwo... miljony ludności... Na ich czele stoi „Władca Świata", który panuje nad wszystkiemi siłami wszechświata, czyta w duszach ludzi i zna ich losy. Kieruje on niewidzialnie życiem i polityką 800 miljonów ludzi, którzy na pierwsze jego wezwanie uczynią wszystko, czego on zażąda...

W tem miejscu książę Czułtun-Bejle dodał:

— Jest to państwo Aharty. Rozciąga się ono przez wszystkie podziemia świata. Sły-

*) Buddha.

szałem jednego uczonego „kanpo“ z Chin, opowiadającego, że podziemia Ameryki są zamieszkane przez lud starożytny, który ukrył się pod powierzchnią ziemi. Temi podziemnemi ludami rządzą obrani królowie, którzy najwyższą władzę i kierownictwo przyznają „Władcy Świata“. Czyż jest w tem coś dziwnego? Czyż wy, Europejczycy, nie wiecie, że w oceanie Zachodu była olbrzymia ziemia, która znikła w otchłani wraz z miastami i ludźmi? Znikała jednak stopniowo. Ludzie więc potrafili uratować się przechodząc do podziemi. W głębi jaskiń pała osobliwy ogień, przy świetle którego proso i jarzyny wydają obfite urodzaje, a życie staje się długie i bezbolesne. Jeden stary bramin buddyjski z Nepalu odbył z rozkazu bogów pddróż do Siemu*), gdzie spotkał rybaka, który długo płynął z nim morzem, aż dopłynęli na trzeci dzień żeglugi do wyspy. Tu bramin widział tubylców o dwóch językach, któremi mogli mówić naraz z dwoma ludźmi mową różnych narodów. Pokazano mu tam dziwne, niewidziane nigdy na ziemi zwierzęta: żółwie o 16 nogach, olbrzymie węże, posiadające smaczne mięso, ptaki z zębami ryb. Ci dziwni ludzie opowiedzieli podróżnikowi, że wyszli z Aharty wraz ze zwierzętami.

*) Sjam.

Lama-Turgut, człowiek mądry i bogobojny, który jechał ze mną z Urgi do Pekinu, znał jeszcze więcej szczegółów o państwie Aharty.

— Mieszkańcy Aharty są to ludzie uczeni, posiadający wysokie stopnie magiczne. Nie możemy sobie nawet wyobrazić całej głębi ich wiedzy! Stolica Aharty jest otoczona miastami, zamieszkanemi przez wysokich kapłanów, przypomina zaś Lhassę w Tybecie, gdzie stolica Dalaj-Lamy czyli Potala, jest szczytem góry, złożonej z klasztorów i świątyń. Tron „Władcy Świata" otaczają miljony przeistoczonych duchów i bogów. Są to święci „pandita". Pałac „Władcy" otaczają domy potężnych przez swoją moc magiczną „goro", którzy władają siłami ziemi, nieba, piekła i wody. W ich ręku życie i śmierć ludów. Oni mogą wysadzić w powietrze połowę naszej ziemi, osuszyć morze, stepy zmienić w ocean, a góry rozsypać w piasek pustyni. Na ich rozkaz wyrastają drzewa i kwiaty; starcy stają się młodzieńcami; umarli zmartwychwstają. „Goro" mkną wąskiemi, podziemnemi szczelinami na nieznanych nam wozach przez olbrzymie jaskinie, oblane tajemniczemi, zachwycającemi promieniami; wznoszą się na niebotyczne szczyty i zwiedzają otchłań ziemi. Błogosławiony Sakkya Muni znalazł na szczycie jednej góry tablicę kamienną z napisem, który potrafił odczytać dopiero

w głębokiej starości, i potem dotarł do Aharty, skąd przyniósł ludziom zaledwie okruszyny wiedzy wielkiej i tajemniczej.

— We wspaniałym pałacu z połyskującego kryształu przebywają ci, którzy, pozostając nieznani, rządzą wszystkimi szlachetnymi i bogobojnymi ludźmi. „Władca Świata“, czyli „Wielki Nieznany“, lub Brahytma, może widzieć Boga i odzywać się do Niego tak, jak ja mówię do pana. Brahytma ma dwóch pomocników: Mahytma, który zna cel przyszłych wypadków, i Mahynga, kierującego przyczynami tych wypadków.

Święci „goro“ badają świat widzialny i niewidzialny i jego siły. Najuczeńsi z nich, zbierają się czasami na naradę magiczną, wysyłają gońców w takie dziedziny, do których nigdy nie docierał rozum i wzrok ludzki. Jeden z Taszy-Lamów, który żył przed 850 laty, w taki sposób opisuje ten obraz:

— „Goro“ kładą swoje ręce na wybranego i usypiają go. Obmywszy jego ciało wodą z magicznemi trawami, czyniącemi ciało ludzkie nieczułem na ból i twardszem od skały, owijają je w tkaniny magiczne ze znakami Zodjaku, mocno zawiązują i rozpoczynają modły do Boga. Śpiący leży z otwartemi oczyma i uszami, widząc, słysząc i pamiętając wszystko. Następ-

pnie podchodzi do niego goro i patrzy mu w oczy potężnym, rozkazującym wzrokiem. Powoli ciało odrywa się od ziemi, staje się przezroczyste, zdolne przebijać sklepienia jaskiń podziemnych i znika. Goro siedzi, nie odrywając oczu od oddalającego się gońca Aharty, i kieruje jego lotem. Niewidzialne, świetlane nici łączą goro z gońcem. Goro i pandita wysyłają gońców w przestrzenie, oddzielające gwiazdy, a ci obserwują życie i zjawiska innych światów, poznają nieznane ludy i ich losy, słuchając ich mowy i czytając ich księgi. Inni gońcy wstępują w płomień, buchający ze środka ziemi i widzą tam istoty ognia, szybkie i złe, stale walczące, roztapiające i kujące metale w niedosiężnych głębiach ziemi, nagrzewające wodę dla gorących źródeł, którą następnie wylewają na ziemię przez wierzchołki pustych, roztopionych w środku szczytów górskich. Niektórzy gońcy mkną pośród niepostrzeżenie chybkich, drobnych, jak pyłek, przezroczystych istot powietrza, przenikają tajemnice ich istnienia i cel ich życia, lub pływają w morzach i poznają świat mądrych istot wody, roznoszących ciepło po ziemi i rodzących wiatry i burze. W Erdeni-Dzu był niegdyś pandita-hutuhtu, przybyły z Aharty. Umierając, przekazał wiernym to, co widział i słyszał, gdy, pokorny woli goro, przebywał na czerwonej gwieździe

wschodniej, pływał w oceanie, pokrytym lodem, i wirował pośród istot podziemnego płomienia.

Takie opowieści słyszałem nieraz w jurtach mongolskich, w koczowiskach książąt i w klasztorach lamaickich. Opowiadano to głosami poważnemi, nie dopuszczającemi wątpliwości..

— Tajemnica...

XX.

WIELKIE MISTERJA „WŁADCY ŚWIATA“

W czasie pobytu mego w Urdze, w atmosferze nieustającego nigdy krwawego misterjum, usiłowałem w tym ośrodku buddyzmu znaleźć jakieś wskazówki co do „Władcy Świata“. Oczywiście, najwięcej mógłby opowiedzieć sam „Żywy Buddha“, zwróciłem się więc do niego z prośbą, aby to uczynił. Przy pierwszych moich słowach stary dostojnik szybko zwrócił ku mnie głowę, a jego nieruchome, niewidome oczy zatrzymały się na mnie z wyrazem trwogi i podejrzenia. Mimowoli umilkłem. Długo trwało milczenie, poczem arcykapłan lamaicki ciągnął dalej swoją mowę, dając mi do zrozumienia, iż nie ma zamiaru poruszać tego tematu.

Oprócz mnie w gabinecie „boga“ było dwóch oficerów burjackich, sekretarz i bibljotekarz „Bogdo“. Na twarzach obecnych zauważyłem ogromne zdumienie i przestrach, spowodowane moją wzmianką o tej tajemnicy najgłębszej.

Lecz spostrzeżenia te jeszcze bardziej podniecały moją ciekawość.

Opuszczając gabinet „Żywego Buddhy“ spotkałem lamę-bibljotekarza, który wyszedł przede mną. Poprosiłem go o zaprowadzenie mnie do książnicy i w czasie oględzin uciekłem się do sztuki dyplomatycznej.

— Czy czcigodny lama wie — spytałem głosem obojętnym — iż pewnego razu zdarzyło mi się być w drodze w momencie, gdy „Władca Świata“ mówił do „Wielkiego Boga“, i wtedy wyraźnie uczułem majestat tej chwili?

Ku wielkiemu memu zdziwieniu lama spokojnie odparł:

— Uważam, że buddyzm i lamaizm napróżno ukrywają przed ludzkością tę tajemnicę. Przecież wieść o istnieniu najświętszego i najpotężniejszego człowieka, o błogiem państwie, o wielkiej świątyni najwyższej wiedzy — to taka pociecha w naszem ciężkiem i smutnem życiu! Ukrywać tę pociechę przed ludźmi jest grzechem!

Bibljotekarz długo szperał na półkach z foljałami i zwojami bibuły, aż wreszcie wyjął jedną księgę i zaczął uważnie przewracać karty.

— Niech pan posłucha! — szepnął. — „Przez cały rok „Władca Świata“ kieruje pracami pandita i goro w Aharty. Czasami, w chwilach jemu tylko znanych, oddala się do naj-

głębszej świątyni, gdzie w trumnie z czarnego agatu złożone są balsamowane zwłoki poprzedniego władcy. Gdy do tej zawsze ciemnej jaskini wchodzi Brahytma, na ścianach zapalają się znaki ogniste, na grobie zjawia się płomienny język. Natychmiast ukazuje się przy zwłokach czarna postać najstarszego goro z zasłoniętą twarzą i z rękami, ukrytemi pod płaszczem. Ten goro nigdy nie ukazuje swego oblicza i głowy, bo jest to głowa szkieletu o żywych oczach i mówiącym języku. Włada on możnością łączenia się z duszami zmarłych, a nosi imię „Marzy", co znaczy „książę śmierci"...

Władca świata zaczyna się modlić, później zaś zbliża się do grobu i wyciąga do niego ręce. Wówczas znaki ogniste wznoszą się wyżej. Płomienie na ścianach i sklepieniach jaskini gasną i znowu się zapalają, przeplatają się i drżą, tworząc znaki tajemniczej pisowni „Wa-Ten". Z trumny zmarłego władcy zaczynają wypływać i drgać w powietrzu strugi światła przezroczystego, ledwo dostrzegalnego. Są to myśli zmarłego. Po chwili postać żyjącego „Władcy" spowita jest temi strugami, a znaki ogniste układają inne wyrazy, mówiące o woli Boga. Brahytma w takiej chwili łączy się niewidzialnemi więzami z duszami ludzi, którzy mają wpływ na losy i życie całej ludz-

kości: królów, chanów, arcykapłanów, wodzów i uczonych: poznaje ich myśli i zamiary. Jeżeli są one zgodne z wolą Boga, „Władca Świata“ dopomoże im potęgą swojej wiedzy, jeżeli zaś są wrogie Bogu, doprowadzi do zguby. Tę siłę dała „Wielkiemu Nieznanemu“ najwyższa magiczna nauka — „Om“, której nazwą rozpoczynamy wszystkie nasze modlitwy. „Om“ — jest to imię starożytnego człowieka świętobliwego, pierwszego goro, który poznał Boga i nauczył ludzkość radości, wiary, nadziei i miłości. On też oddzielił dobro od zła i pierwszy rozpoczął walkę z grzechem. Za to Bóg dał mu poznanie nauki, którą ludzie zowią „Om“.

— Gdy Władca skończy niemą rozmowę ze zmarłym, zwołuje wielką „radę Boga“ i poddaje jej sądowi czyny i zamiary ludzi, wspomaga je lub niszczy, a Mahytma i Mahynga znajdują dla nich miejsce w łańcuchu przyczyn i celów, kierujących światem. Po skończonej Radzie „Władca Świata“ wstępuje do świątyni i pogrąża się w modlitwie samotnej. Na ołtarzu zapala się wielki ogień, stopniowo ogarniający cały ołtarz, a z płomieni wyłania się oblicze Boga. „Władca Świata“ przedstawia mu wyroki „rady Boga“ i otrzymuje wskazówki od Wszechmocnego. Gdy Brahytma powraca ze świątyni, podobny jest do promiennego widma, przed którem gaśnie słońce.

— Czy ktoś z żyjących widział Władcę? — zagadnąłem.

— Tak! — odparł lama. — W dniach wielkich nabożeństw buddystów w Sjamie w Indjach pięć razy widziano „Władcę“. Jechał na białym słoniu, cudownie przybranym, na głowie miał tiarę, a na twarzy zasłonę, kapiącą diamentami. Błogosławił lud jabłkiem złotem ze stojącem na niem jagnięciem. Ślepi, niemowy, kalecy odzyskiwali zdrowie i moc, gdy padał na nich wzrok „Władcy“. Brahytma był w Narabanczi-Kure, w starym klasztorze Sakkya, a przed 540 laty był w naszym Erdeni-Dzu. Jeden z „Żywych Buddhów“, oraz jeden z Taszy-Lamów otrzymali pismo „Władcy“ na tablicach mosiężnych. Tylko jeden z Taszy-Lamów mógł odczytać pismo, skreślone nieznanemi znakami. Taszy-Lama zamknął się w świątyni, długo pościł i modlił się, a później położył pismo na czole, i wnet myśli „Władcy Świata“ stały się jego myślami.

— Czy wielu ludzi przenikło do Aharty? — pytałem dalej.

— Wielu! Lecz wszyscy zachowali tajemnicę. Po zburzeniu Lhassy przez Kałmuków jeden z ich oddziałów wypadkowo dostał się do przedmieść Aharty i stamtąd wyniósł niektóre nauki magiczne. Dlatego to Kałmucy są najlepszymi wróżbiarzami i czarownikami.

Z Aharty wygnano jakieś plemię, które zakradło się tam bez woli „Władcy“. Plemię to wykradło stamtąd tajemniczą sztukę wróżenia z kart, z linij rąk, oraz wiedzę trujących i leczących traw. Byli to Cyganie. Gdzieś na północy istnieje jeszcze szczep wymierający, który przed wiekami opuścił Aharty. Kapłani tego szczepu posiadają władzę nad duchami, unoszącemi się w powietrzu.

Lama umilkł, a po chwili, odpowiadając na moje myśli, ciągnął dalej:

— W Aharty panditowie zapisują na tabliczkach z agatu i nefrytu całą naukę, istniejącą pod ziemią, na ziemi i na dalekich gwiazdach. Chińscy uczeni — buddyści wiedzą o tem. Ich nauka jest najdonioślejsza z nauk ludów, żyjących na powierzchni ziemi. Dlatego też co lat sto na odosobnionym brzegu morza zbiera się stu mędrców chińskich, do których przypływają stare żółwie po 3000 lat żyjące. Na ich tarczach mędrcy spisują wszystkie wyniki nauki w ciągu ubiegłego stulecia, poczem żółwie powracają do Aharty.

XXI.

PRZEPOWIEDNIA „WŁADCY ŚWIATA“ W 1890 ROKU.

Hutuhtu w Narabanczi-Kure opowiedział mi treść przepowiedni „Władcy Świata“ podczas jego przypuszczalnej bytności w 1890 roku pośród lamów i mnichów.

— Gdy „Władca Świata“ zjawił się pośród nas, wówczas uczynił przepowiednie na przeciąg 50 lat.

„Wielki Nieznany“ rzekł:

„Ludzie coraz bardziej będą zapominali o swojej duszy, troszczyć się zaś będą tylko o ciało. Wielki grzech i rozpusta zapanują na ziemi. Ludzie zaczną pożądać krwi i śmierci braci. Przygaśnie półksiężyc, a czczący go będą żyli w poniewierce, męczarniach, nędzy i nieustającej wojnie. Wrogowie ich poniosą klęskę od ludzi słońca, lecz nie staną się lepsi, i spotka ich powtórna klęska na wojnie, która się skończy hańbą w oczach innych ludów. Spadną korony z głów wielkich i małych mo-

carzy... Widzę osiem koron, które rozprysły się w proch. Widzę bitwy wszystkich ludów, nawet morze i powietrze będą szkarłatne od krwi. Runą państwa, zginą ludy. Przyjdą głód, mór, zbrodnie, jakich nie znał dotychczas świat. Nastąpią czasy wrogów boskiego ducha w człowieku. Podniesie się czterdzieści setek miljonów ludzi na głód i zgubę. Ludy zaczną koczować, ścigane przez śmierć... Zginąć muszą trzy największe, najpiękniejsze miasta. Rozpadną się rodziny, zaginie prawda i miłość. Z 10 000 ludzi pozostanie tylko jeden, nagi i szalony, i nie będzie miał siły i wiedzy, aby odbudować dom i odnaleźć pożywienie. Będzie wył, jak wilk, i gryzł swoje własne ciało. Będzie zjadał trupy umarłych i czyhał na życie bliźnich. Nareszcie w porywie szauł zwróci się do Boga, chcąc stoczyć z nim walkę śmiertelną. Wtedy ja, Władca Świata, poślę na Zachód i Wschód szczepy zapomniane, aby z wyroku Boga przyniosły karę i zbawienie. Głos mój posłyszą wierni od krańca aż do krańca ziemi. Zjawią się trzy wielkie państwa, a będą istniały 71 lat od dnia zjawienia się. Później nastąpi 18 lat krwawych wojen, zguby i zdziczenia. Wtedy przyjdę na ziemię ja, przyjdę z siłami Aharty!“

Takie są opowiadania i legendy o „Wielkim Nieznanym“, o „Władcy świata“.

Dla mnie, znającego Azję od kresu do kresu tego kontynentu, nie ulega wątpliwości, że zbliża się czas, gdy 800 miljonów głodnych, zrozpaczonych, pałających nienawiścią Azjatów różnych szczepów ruszy na Zachód, gdzie białe ludy wykonywują ostatni swoj tan nad własnym grobem, oszukując się różnemi teorjami i zapominając o wielkim duchu, który uśpiony życiem — milczy. Tymczasem dzień zguby już świta...

Gdy piszę te słowa, wzrok mój mimowoli zwraca się w stronę olbrzymiego serca Azji, na którego powierzchni ciągnie się cienką, zygzakowatą linją mój ślad.

Przez śnieżne zamiecie, przez kurzawy piasku Gobi widzę stepy Mongolji; widzę około ruin Karakorumu i dalej na Ubsa-Nor wielkie barwne obozy wojenne, tabuny koni, wielbłądów i stada bydła.

Widzę niebieskie jurty wodzów, a nad niemi powiewające stare sztandary Dżengiz-Chana i królów Tybetu, znaki arcykapłanów trzech stolic lamaickich, proporce książąt kałmuckich, flagi Sjamu, Afganistanu i radżów indyjskich, oraz buńczuki północnych Mongołów. Dalej na Zachodzie, jak okiem sięgnąć, widzę zarzewia pożarów, słyszę huk i ryk dział, łuny ognia, krzyki mordowanych, wycie zdobywców, odgłosy bitew...

Kto wiedzie te hordy ku krwawemu dziełu zbrodni, zemsty lub kary?

Kto rozpoczął okres nowych krzyżowych wypraw... Mongołów?

Karma odkrywa nową kartę dziejów ludzkości...

A on, ten mistyczny „Władca Świata", czy też jest z temi hordami z Gobi, Himalajów, Gangesu i Yan-Tze?

Tajemnica Tajemnic zastygła, skamieniała w milczeniu.

KONIEC.

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA w Toruniu

13
Biblioteka Główna UMK
300047602156
344883